

# Powiat



Nr 7-8 (209-210), Lipiec-Sierpień 2018

Rok XVIII \* ISSN 1730-7686

[facebook.com/morskipowiatslupski](https://facebook.com/morskipowiatslupski)

**SŁUPSKI**

Gorące lato i... co rząd na to?

Obiecanki, cacanki...

Szaleniec Boży

Takie zwyczajne i niezwykłe życie

Jak Polacy bronili na Litwie swojej polskości

Tajemnica dzwonnicy z Objazdy

Białe Bociany w Smołdzinie

Wszystko lub aż nic

**Wieś Tworząca**





EXTREME  
BIKE TOUR  
USTKA, LIPIEC 2018





**ZDZISŁAW  
KOŁODZIEJSKI**  
Starosta Słupski

Fot. SAS

### Drodzy Czytelnicy!

Ruszył program profilaktyki boreliozy w powiecie słupskim - 2018. Mieszkańcy mają po raz drugi możliwość wykonania bezpłatnych badań w kierunku wykrycia tej choroby. Po raz drugi, ponieważ program taki realizowany był już w roku ubiegłym. Borelioza to najbardziej znana choroba odkleszczowa. W Polsce notuje się wzrost zachorowań na nią. Dane liczbowe mówią, że trzy lata temu w kraju było po-

nad 13 tys., a w ubiegłym roku już ponad 21 tys. przypadków zachorowań! W powiecie słupskim odnotowano w ubiegłym roku 125 przypadków i to stawia nas w grupie powiatów w województwie pomorskim najbardziej zagrożonych.

Dlatego zachęcam i namawiam osoby, które zostały ukąszone w tym roku przez kleszcze o udanie się do najbliższego ośrodka zdrowia i gdy tam okaże się, że istnieją ku temu powody,

o poddanie się darmowym badaniom. Wzrost populacji kleszczy i większa możliwość kontaktu z nimi, powinny wzbudzać naszą ostrożność. Nie popadajmy jednak w paranoję i nie eliminujemy niektórych zachowań. Przyroda obdarzyła nas po to swą piękną naturą i bogactwem świata zwierząt, by z niej korzystać..

Sam spędzam sporo czasu na spacerach bądź leśnych wędrówkach i Państwa również do tego zachęcam. Gdy jednak

dojdzie do ukąszenia, nie bagatelizujemy tego, bo borelioza to choroba podstępna. Pomimo że coraz więcej wiemy na jej temat, lekarze wciąż mają problemy z właściwym jej zdiagnozowaniem.

Stąd nasz program, który, mam nadzieję, podobnie jak w roku ubiegłym spotka się z zainteresowaniem i być może uratuje wielu z nas zdrowie. I pozwoli nadal cieszyć się urokami naszej pięknej przyrody.

### W numerze:

- 2 Wakacyjna nauka demokracji
- 2 Dotacja dla Swotowa
- 3 Nowy węzeł transportowy
- 3 Dofinansowanie z PFRON
- 3 Komunikacja w Uście
- 4 Termomodernizacja budynków
- 4 Borelioza - bezpłatne badania
- 4 Rajd im. Stanisława Kądzieni
- 5 Nowoczesna straż
- 5 Lato wiejskich dzieci
- 5 Piknik w Żochowie
- 6 Gorące lato i... co rząd na to?



Naprawdę nie jest śmieszne, gdy płoną domy, gdy niszczyją uprawy rolne, gdy traci się dobytek całego życia, a państwo bezradnie rozkłada ręce.

- 8 Obiecanki, cacanki...

### 10 Szalenciec Boży



Otrzymałam w prezencie na swoje 80. urodziny książkę pt. „Książd prałat Jan Giriatiowicz - Kapłan i społecznik”, jej bohater tak skomentował: - Teraz wszyscy książęta to społecznicy.

### 12 Takie zwyczajne i niezwykłe życie



W 1955 roku ożeniłem się z Elfriedą Glieffe. Była to piękna kobieta i moje zupełne przeciwieństwo - spokojna, opanowana, rozsądna, cierpliwa, inteligentna, pracowita...

### 15 Jak Polacy bronili na Litwie swojej polskości



„Kochajmy Polskę! Ona jest tego warta” - głosi jedno z przestań Polaków mieszkających na Litwie. Rodaków obowiązują też pięć prawd...

### 18 Pierwsza komunia po włosku

### 20 Łaknąta normalności

### 21 Gadżetomania

### 22 Przy muzyce świerszczy młody, stary tańczy

### 23 Tajemnica dzwonnicy z Objazdy



Moje poszukiwania mają amatorski charakter, ale dostarczają mi wielu

wzruszeń i może staną się zaczynem naukowego opracowania o dzwonach Benningów w powiecie słupskim.

### 25 Białe Bociany w Smołdzinie



Nagrodami starosty słupskiego uhonorowano kolejne wyróżniające się osoby twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury.

### 27 Białe Bociany... dyskomfort

### 29 Laureaci nagród Białego Bociana 2018

### 30 Wszystko lub aż nic

Chciałbym czytelnikom odkryć duszę artystki,



jej osobowość, która nie tylko wyzwala energię, ale aktywizuje do działalności na rzecz lokalnej społeczności.

### 33 Ciekawość morza

### 34 Entuzjastycznie zakończony sezon



Tak wielkiej owacji w siedzibie Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” im. Wojciecha Kilara w Słupsku jeszcze nie było. Melomani na stojąco dziękowali dyrektorowi i orkiestrze nieustającymi owacjami i oklaskami.

### 35 Kontakt z orkiestrą był wyjątkowy

### 36 Dużo i mało

### 37 Kapryśne góry

### 38 Sportowy świat pożegnał Irenę Szewińską

### 39 Odwołanie od reklamacji a uszkodzenie mechaniczne

## Wakacyjna nauka demokracji

31 lipca br. na mapie pojawiła się na siedem dni nowa miejscowość – Wioska Dyla. Powstała, by dzieci z gmin powiatu słupskiego, cieszyńskiego i niemieckiego Herzogtum Lauenburg mogły uczyć się obywatelskiego, odpowiedzialnego życia.

Wioska powstała w Runowie przy tamtejszym Pałacu pod Bocianim Gniazdem i została zbudowana w ramach realizowanego projektu „Zabawa w miasto - dzieci budują swój świat”. Projekt ten wzorowany jest na niemieckiej zabawie w miasto o nazwie Tillhausen organizowanej od wielu lat przez tamtejszą organizację Kreisjugendring e.V. z Mölln. Przez kilka lat także z powiatem słupskim w ramach współpracy partnerskiej prowadzonej od 2004 roku z powiatem Herzogtum Lauenburg.

Zabawa polega na tym, że przez tydzień dzieci w wieku 11-14 lat zamieszkają w zbudowanym miasteczku namiotowym, w którym życie toczy się na wzór prawdziwego miasta dorosłych, z własną radą miejską i urzędem pracy. Dzieci

uczą się pełnić różne role społeczne, chodzą do pracy, zarabiają pieniądze, które wydają w zarządzanym przez siebie miasteczku. Wybierają swojego burmistrza i inne osoby do pełnienia ważnych funkcji społecznych.

Jak podkreślił nawet to w swoim codziennym komentarzu „Głos Pomorza”: „projekt realizowany przez władze powiatu słupskiego to dobra okazja do poznania prawideł demokracji i funkcjonowania gospodarki wolnorynkowej. To bardzo ważna inicjatywa, która niewątpliwie jest doskonałym urozmaicheniem lekcji wiedzy o społeczeństwie, których realizacja w szkołach pozostawia wiele do życzenia.”

W projekcie wzięło udział 120 młodych uczestników i ich opiekunów z wszystkich miast i gmin powiatu słupskiego, z wyłączeniem gminy Dębica Kaszubska. Dlatego w to miejsce zaproszono dzieci z powiatu cieszyńskiego. Dwadzieścia osób przyjechało z partnerskiego powiatu niemieckiego.

Cztery godziny dziennie dzieci pracowały w miejscach przydzielanych im przez mi-



Fot. M. Smolński

steczkowy urząd pracy i zarabiali tzw. „słupki”, które były walutą miasteczka. Wybierano zawody: radnego, dziennikarza w gazecie lub tv, artysty, rzemieślnika, pracownika banku, poczty. Za swoją pracę wszyscy otrzymywali to samo wynagrodzenie. Praca w radzie miejskiej umożliwiała osiągnięcie najważniejszego celu, jakim był udział i współdecydowanie o sprawach ogółu.

Zarobione przez mieszkańców namiotowego miasteczka pieniądze zostały wydane na wyprodukowane przez dzie-

ci towary i oferowane usługi. W ten sposób można było kupić różne produkty. Każdego dnia był też czas na inne zajęcia. Dzieci zorganizowały m.in. wieczór polski i wieczór niemiecki, edycję konkursu „Mam Talent!”

Pomysł projektu „Zabawa w miasto” powstał w 1997 roku i w Niemczech prowadzony jest co dwa lata. W powiecie słupskim nietypową wakacyjną zabawę zorganizowano po raz drugi, m.in. przy finansowym wsparciu Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży. (A.K.)

## Dotacja dla Swotowa

Dwa lata potrwa adaptacja trzech zabytkowych szachulcowych budynków w Swotowie na potrzeby Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk oraz Muzeum Kultury Ludowej Pomorza. Inwestycja została dofinansowana z Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020.

Adaptacja obejmuje rewitalizację zabytkowych budynków szkieletowych i restaurację organów swotowskiego kościoła. W starym szachulcowym domu mieszkalnym powstanie stała ekspozycja etnograficzna poświęcona przyrodzie i medycynie ludowej Pomorza. Powstanie też sala edukacyjna

oraz suszarnia ziół. Przy budynku urządzony zostanie przydomowy zielnik.

Najważniejszą inwestycją dla Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk będzie remont i adaptacja zabytkowej czworobocznej zagrody chłopskiej, w której zostanie utworzona Zagroda Inicjatyw Twórczych, obejmująca działania o charakterze edukacyjno-kulturalnym. W zabytkowej części mieszkalnej powstanie Przystanek Artystów i Twórców.

Jak mówi dyrektor Zbigniew Gach, będzie to miejsce interdyscyplinarne, otwarte na różne dziedziny sztuki. - Chcemy, aby jego wspólną wartością stanowili artyści oraz wykorzy-

stywana przez nich zabytkowa przestrzeń. Wierzymy, że uda się wykreować nową placówkę, która stanie się wiodącym ośrodkiem kultury ludowej na Pomorzu.

Centrum Kultury zaadaptuje również na swoje potrzeby starą stodołę i budynek bramny, w którym prowadzić będzie działalność dla lokalnej

społeczności. Powstanie galeria twórców oraz kuchnia społeczna na warsztaty kulinarne i dla kół gospodyń wiejskich. Na potrzebę imprez plenerowych zostanie oddany do użytku utwardzony plac z namiotem.

Zaadaptowane budynki mają wzmocnić turystycznie Swotowo, które jako ogólnopolska marka, ma stać się miejscem spotkań artystów, dobrej kuchni i promocji dawnego wiejskiego stylu życia. Wszystko za, z remontem drogi (w przebudowie której uczestniczy powiat słupski) i oświetleniem, ponad 14 mln zł, w tym 7,5 mln pochodzących będzie z dotacji.

**Kacper Zielonka**  
**Głobino**



Fot. Archiwum Autora

## Nowy węzeł transportowy

W Ustce powstanie nowoczesny, efektywnie funkcjonujący węzeł transportowy zintegrowany z komunikacją kolejową, autobusową, rowerową i pieszą. Miasto na jego budowę otrzyma z Pomorskiego Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku prawie 16 mln zł – 85 proc. tzw. kosztów kwalifikowanych.

11 lipca Mieczysław Struk – marszałek województwa pomorskiego oraz Jacek Graczyk – burmistrz Ustki podpisali umowę o dofinansowaniu budowy węzła. Ma on powstać w ciągu dwóch lat. W pierwszym etapie wyremontowany i odrestaurowany zostanie budynek dworca, zagospodarowany teren wokół, przebudowana ulica Portowa i przebiecie do Bulwaru Portowego. Zbudowany zostanie również nowy dworzec autobusowy, parkingi dla

samochodów oraz rowerów z wiatami.

- Bardzo dziękuję burmistrzowi Jackowi Graczykowi za determinację, jaką wykazał się w dążeniu do przygotowania tego przedsięwzięcia oraz prezydentom Słupska - Robertowi Biedroniowi i Markowi Biernackiemu za przychyłność dla działań burmistrza - powiedział podczas uroczystości podpisania umowy Mieczysław Struk.



Z kolei burmistrz Jacek Graczyk podziękował władzom województwa oraz władzom Słupska i pracownikom Urzędu Miasta, którzy przez niemal trzy lata pracowali nad tym projektem. - Budowa usteckiego węzła jest jednym z elementów poprawy jakości transportu zbiorowego na obszarze dwumiasta Ustka-Słupsk. Oprócz infrastruktury w Ustce powstanie także węzeł integracyjny w Słupsku oraz wyremontowana zostanie linia

kolejowa nr 405 Miastko-Ustka - powiedział J. Graczyk

Dofinansowanie zostało przyznane Ustce w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Pomorskiego na lata 2014-2020. Całkowity koszt projektu wyliczony został na ponad 23,2 mln zł. Zakres prac obejmuje też: budowę pętli autobusowej z zadaszonymi peronami oraz stanowiskami dla autobusów z ciągami komunikacyjnymi w obrębie dworca autobusowego i kolejowego, miejsc parkingowych dla autobusów, ciągów pieszych i rowerowych, parkingów dla samochodów osobowych, budowę parkingu z wiatami dla rowerów, systemu informacji pasażerskiej, postoju taxi, małej architektury, budowę systemu kontroli i zarządzania miejscami parkingowymi oraz kampanię informacyjno-edukacyjną promującą korzystanie z nowego transportu zbiorowego. (E.M.)

## Dofinansowanie z PFRON

25 lipca br. w siedzibie gdańskiego oddziału PFRON podpisane zostały umowy na dofinansowanie zakupów samochodów dla osób niepełnosprawnych w ramach programu wyrównywania różnic między

regionami III. Powiat słupski otrzyma dofinansowanie w wysokości ponad 168 tys. zł.

Umowy podpisali starosta słupski Zdzisław Kołodziejwski i wicestarosta Rafał Konon. Kwotą 80 tys. zł zostanie dofinansowany zakup samochodu osobowego 9-miejscowego do przewozu mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Macho-

winku. Taką samą kwotą uzyska też Warsztat Terapii Zajęciowej w Sycewicach na zakup mikrobusu przystosowanego do przewozu osób na wózkach inwalidzkich, a 78 tys. zł - Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczego w Damnicy na zakup samochodu przystosowanego do przewozu uczniów i wychowanków.

Dofinansowanie w wysokości ponad 10,2 tys. zł (30 proc.

kosztów) otrzyma także Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku na modernizację ciągów komunikacyjnych w budynku przy ulicy Leszczyńskiego. Zakupione samochody będą musiały służyć powiatowym jednostkom i koszałińskiemu Caritasowi, który prowadzi w powiecie słupskim warsztaty terapii zajęciowej, przez co najmniej 5 lat. (PL)

## Komunikacja w Ustce

12 lipca władze Ustki uruchomiły pierwszą w historii miasta komunikację miejską. Przetarg wygrało słupskie Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej S.A.

Pierwsze autobusy wyruszyły na trasy nr 1 i 2 już o 6 rano. W kilkanaście minut można było przejechać ze strony zachodniej w okolice centrum i promenady. Możliwy jest także dojazd do ośrodków wypoczynkowych przy ulicy Wczasowej oraz przychodni w Lędowie.

Uruchomienie komunikacji ma charakter pilotażowy i będzie ona funkcjonować do 26 września br. Natomiast dalsze jej funkcjonowanie uzależnione jest od zainteresowania pasażerów, ale Urząd Miasta już rozważa przedłużenie kursów do końca roku.

Dla osób niepełnosprawnych, mieszkańców Ustki i turystów uiszczających opłatę uzdrowską, komunikacja jest bezpłatna. Dla mieszkańców dokumentem potwierdzającym uprawnienie jest dowód

osobisty z wpisanym adresem zameldowania lub bilet wydany w Biurze Ewidencji Ludności w Urzędzie Miasta. Bilety wydawane są w poniedziałki w godz. 8.00-17.00, od wtorku do piątku w godz. 7.30-

15.30. W przypadku dzieci wystarczy oświadczenie ustne rodzica posiadającego uprawnienie lub legitymacja szkolna. Dla osób niepełnosprawnych dokumentem potwierdzającym



Fot. Archiwum Autora

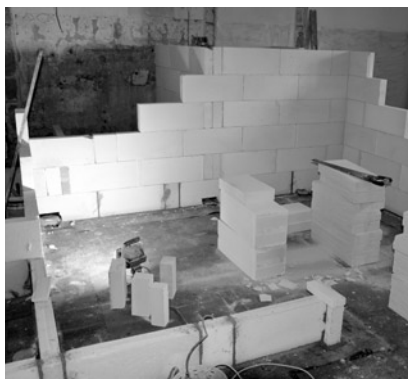
cym uprawnienia jest legitymacja lub zaświadczenie, a dla turystów uiszczających opłatę uzdrowską - dowód opłaty. Dla pozostałych pasażerów bilet kosztuje 2 zł. (E.M.)

## Termodernizacja budynków

Dobiegły końca prace w świetlicy wiejskiej i remizie strażackiej w Sierakowie. To pierwszy z obiektów, który został wyremontowany w ramach realizowanego programu termodernizacji budynków użyteczności publicznej w gminie Kobylnica.

Roboty są finansowane ze środków budżetu gminy oraz Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (68 proc. kosztów kwalifikowanych). W Sierakowie za około 842 tysią-

ce złotych, wykonano ocieplenie stropodachu oraz ścian zewnętrznych budynku. Wymieniono okna i drzwi zewnętrzne, zamontowano pompy ciepła, przebudowano instalację centralnego ogrzewania. W całym budynku pojawiły się też: energooszczędne oświetlenie, system instalacji alarmowej i monitoring. Na nowo zagospodarowano teren wokół budynku poprzez wykonanie dojazdu, remont chodników i drogi pożarowej. Wszystkie prace związane z termomodernizacją potrwają w gminie Ko-



Fot. Archiwum Autora

bylnica do października przyszłego roku, obejmą 11 obiektów i będą kosztować ok. 5,4 mln zł.

Przedsięwzięcie ujęte w Zintegrowanym Porozumieniu

Terytorialnym dla Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego Słupska realizowane jest przez Miasto Słupsk w partnerstwie z samorządami gmin: Kobylnica, Dębica Kaszubska, Damnica, gminy wiejskiej Słupsk, miasta Ustka i powiatem słupskim.

Wydatki na przebudowę łącznie 49 obiektów w tych samorządach obejmą ponad 40 mln zł. Gminom biorącym udział w projekcie udało się zdobyć dofinansowanie w wysokości 25,5 miliona złotych. (K.K.)

## Borelioza - bezpłatne badania

Do 15 grudnia w powiecie słupskim realizowany będzie program profilaktyczny obejmujący bezpłatne badania laboratoryjne testem ELISA klasy IgG i IgM w kierunku wykrycia boreliozy i działania edukacyjne.

Bezpłatnymi badaniami objętych zostanie 350 mieszkańców powiatu, w wieku od 20 roku życia, u których wcześniej nie stwierdzono boreliozy i którzy nie byli leczeni z powodu tej choroby. Badania wykonywane są od 20 sierpnia do wyczerpania limitu, przez wy-

łonione w konkursie Medyczne Laboratorium DIAGNOSTYKA Sp. z o.o. w Słupsku. Kwalifikacja uczestników odbywa się w wiejskich ośrodkach zdrowia i przychodniach oraz w punktach pobrań DIAGNOSTYKI przy ulicach: Jana Pawła II 1a, Wileńskiej 30, Tuwima 23, Stary Rynek 5, Placu Dąbrowskiego 6 w Słupsku oraz w Ustce przy ulicy Grunwaldzkiej 18. Zainteresowani muszą wypełnić ankietę oceny ekspozycji na kleszcze, w oparciu o którą personel medyczny ośrodka zdecyduje o zakwalifikowaniu do bezpłatnego badania, z którego powin-

ny głównie skorzystać osoby z grupy podwyższonego ryzyka, tj. leśnicy, rolnicy, osoby często przebywające na terenach bytowania kleszczy.

Borelioza jest najczęstszą chorobą odkleszczową, infekcyjną, o przewlekłym przebiegu. W kraju, a także w woj. pomorskim wciąż obserwuje się wzrost zachorowań na nią. Mają na to wpływ trzy czynniki: przebywanie na obszarach leśnych, rolnych, łąkach i terenach rekreacyjnych, wyższe temperatury w zimie oraz na wiosnę sprzyjające większej przeżywalności gryzoni - głównych żywicieli kleszczy oraz coraz bardziej dostępna dia-

gnostyka, dzięki której rośnie wykrywalność boreliozy.

Program finansowany jest ze środków powiatu słupskiego, gminy Kępice i realizatora programu. Badaniami objęci zostaną mieszkańcy wszystkich miast i gmin powiatu, w gminie Kępice najwięcej, bo dołożyła się do finansowania programu. (D.R.)



Fot. Mat. prasowe

## Rajd im. Stanisława Kądzieli

28 lipca ze Słupska wyruszył XVI Rajd Rowerowy Osób Niepełnosprawnych im. Stanisława Kądzieli. Na trasę udało się 180 cyklistów.

Głównymi uczestnikami rajdu byli mieszkańcy Domów Pomocy Społecznej w Machowinie, Machowinku i Lubuczewie. Rajd zorganizowało Stowarzyszenie „Razem-Wszystko” z Machowina, a sfinansowany został ze środków PFRON. Na zbiórce przed starostwem Ewa Młynarczyk - dyrektorka Domu Pomocy Społecznej w Machowinie przybliżyła uczestnikom przebieg

trasy. Starosta słupski Zdzisław Kołodziejki przypomniał ideę organizowania rajdu. Przed wyruszeniem na trasę głos zabrał jeszcze Jerzy Sołtysiak z Klubu Turystyki Rowerowej i Pieszej „Bezkrę”. Przypominał zasady bezpiecznego poruszania się po



Fot. S.S.

drogach i w kolumnie rajdowej.

Po przecięciu wstęgi (m.in. przez Pawła Kądziele - syna śp. Stanisława Kądzieli) rajdowicze ruszyli w kierunku starego cmentarza - tam złożyli kwiaty na grobie śp. S. Kądzieli, zmarłego w 2001 roku starosty słupskiego, a następnie polnymi i leśnymi duktami pojechali w kierunku Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie. Stamtąd, po krótkim odpoczynku i zregenerowaniu sił, ruszyli do Domu Pomocy Społecznej w Machowinku. Najmłodszy uczestnik otrzymał tu drobne upominki od

dyrektora Marka Króla, a wójt gminy Ustka Anna Sobczuk-Jodłowska przygotowała dla nich jednorazowe wejściówki do Lunaparku w Ustce. Takie upominek otrzymała też najstarsza uczestniczka rajdu.

Mimo gwałtownego załamania pogody rajdowicze z Machowinka pojechali dalej - do Machowina, gdzie odbył się finał imprezy. Na wszystkich czekał tu ciepły posiłek i różna atrakcje. Odpoczynek uprzyjemniła Grupa Teatralna „Kubuś”. Odbyły się konkurencje sportowe i quiz, w którym można było wygrać nagrody.

Na zakończenie było jeszcze wspólne biesiadowanie i zabawa. (D.L.)

## Nowoczesna straż

- Jest to absolutna ekstraklasa, jeśli chodzi o dostępne obecnie wyposażenie jednostek strażackich w całej Europie. Najwyższa jakość, najlepsze firmy, najlepsi producenci - podkreślał Grzegorz Falkowski, zastępca komendanta miejskiego PSP w Słupsku podczas uroczystego przekazania nowego sprzętu jednostkom OSP w gminie Kobylnica.

Specjalistyczne wyposażenie, które trafiło do strażaków kosztowało ponad 865 tysięcy złotych. Zaprezentowano je przed remizą 30 czerwca w Sierakowie. - Nie mam wątpliwości, że otrzymujecie dziś najlepsze z możliwych narzędzi pracy. Ten sam sprzęt wykorzystywany jest między innymi przez nowojorską straż pożarną czy najlepsze jednostki w Europie. To wyposażenie, którego mogłoby pozazdrościć wiele jednostek, wy nim od teraz dysponujecie - mówił do strażaków G. Falkowski.

- Jestem przekonany, że dzięki zakupionemu wyposażeniu podejmowane działania będą jeszcze skuteczniejsze. Dobrze przygotowani ludzie w połączeniu z właściwym sprzętem są w stanie zapewnić wszystkim mieszkańcom jeszcze większe bezpieczeństwo - podkreślał też Leszek Kuliński, wójt gminy, prezes Zarządu Oddziału Gminnego ZOSP RP w Kobylnicy. - Dziękuję wszystkim, którzy zaangażowali się w trudny i długi proces wyposażenia naszych jednostek w tak nowoczesny sprzęt. Wiem, ile pracy i wysiłku kosztowało to przedsięwzięcie.

Ponad 865 tys. zł pozwoliło na wyposażenie gminnych jednostek OSP w specjalistyczne pilarki łańcuchowe, przecinarki spalinowe, wyciągarki samochodowe, hydrauliczne wyposażenie ratownicze i motopompy. Strażacy mogą też korzystać z kamer termowizyjnych, nowych zestawów ochronnych, zestawów komputerowych, aparatów powietrznych, detek-

torów gazowych, młotów udarowych, sprzężarek tłokowych i wyposażenia ratowniczego.

Zakup tak nowoczesnego sprzętu został sfinansowany ze środków budżetu gminy oraz dofinansowany z puli Europejskiego Funduszu Rozwoju Re-

gionalnego. Dofinansowanie objęło 85 procent kosztów kwalifikowanych. Projekt doposażenia jednostek OSP realizowany był w partnerstwie z czterema innymi jeszcze samorządami.

**Karol Kotusiewicz**  
Kobylnica



Fot. Archiwum Autora

## Lato wiejskich dzieci

W programie tegorocznego „Lata na wsi” z Centrum Kultury i Biblioteką Publiczną Gminy Słupsk znalazło się wiele warsztatów, gier terenowych, zabaw, wycieczek rowerowych i autokarowych.

Zajęcia odbywają się w dziecięcych świetlicach wiejskich: w Bierkowie, Bruszkowie

Wielkim, Bukówce, Głobinie, Jezierzycach Osiedlu, Redzikowie, Warblewie, Włynkowie, Włynkówku i Wrześciu. Podczas zajęć opiekunowie świetlic realizują programy profilaktyczne obejmujące m.in. spotkania z przedstawicielami służb mundurowych i pedagogami. Uczą zachowań podczas kontaktów z obcymi osobami, korzystania



Fot. Archiwum Autora

z kąpielisk, obchodzenia się z ogniem.

Zaplanowano również warsztaty rękodzielnicze, sportowe, kulinarne i integracyjne, w tym rozwijające pamięć i koncentrację. Dzieci pojadą do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, Zagrody Albrechta w Swołowie, Multikina, Parku Wodnego, Parku Trampolin, Parku Jurajskiego, Ogrodów Tematycznych.

- Dzieci spędzają w roku sporo czasu w szkole, dlatego dla właściwego ich rozwoju konieczny jest odpoczynek od obowiązków szkolnych - mówi Zbigniew Gach, dyrektor CKiBP w Głobinie. - Na terenach wiejskich wielu rodziców nie jest stać na zapewnienie dzieciom letniego wypoczynku, dlatego Centrum Kultury Gminy Słupsk wychodzi naprzeciw tym oczekiwaniom i zapewnia ciekawy program.

**Kacper Zielonka, Głobino**

## Piknik w Żochowie

23 czerwca przed Domem Ludowym w Żochowie odbył się sołecki piknik rodzinny.

Na placu zabaw były konkursy i zawody sportowe dla dzieci i ich rodziców. Najwięcej radości dostarczyły rozgrywki w piłkę nożną, w których udział brały dwie drużyny: dziecięco-młodzieżowa i rodziców. Potem te same drużyny przeciągały linę. W obu konkurencjach wygrali młodszy.

Miłą niespodzianką sprawiła wizyta duetu animatorów, którzy w pięknych i wymyślnych strojach przez ponad godzinę zabawiali najmłodszych. Pod wieczór, gdy już dzieci poszły spać, rozpoczęła się biesiada ludowa, do której przygrywał i śpiewał zespół „Legato”. (M.K.)

# Gorące lato i... co rząd na to?

Naprawdę nie jest śmieszne, gdy płoną domy, gdy niszczej uprawy rolne, gdy traci się dobytek całego życia, a państwo bezradnie rozkłada ręce. W warunkach współczesnej demokracji nie ma już takich możliwości, jakie były w scentralizowanej gospodarce. Nie ma interwencjonizmu państwowego, nie ma wojska, które wysyłano kiedyś „na odsiecz” poszkodowanym.

Oj, nielato mają rządzący w wypełnianiu swych służebnych funkcji wobec społeczeństwa, nielato. Pewnie już nie pamiętamy, jak kiedyś zapytał premiera Tuska hodowca papryki Stanisław Kowalczyk: - Jak żyć, panie premierze? Było to 13 sierpnia 2011 roku, premier odwiedził regiony, które ucierpiały na skutek przejścia trąby powietrznej. Pan Kowalczyk miał zniszczone gospodarstwo i nie otrzymał żadnych środków pomocowych.

Innym razem, też w lecie, 8 lipca 2010 ówczesny premier Włodzimierz Cimoszewicz miał podobne problemy, nie potrafiąc udzielić zadawanej odpowiedzi ludności, którą na-

wiedziła niszczycielska powódź. Jego nieprzemyślane słowa, że „należało się ubezpieczać”, omal nie przerwały mu kariery politycznej.

Z podobnych powodów sławną stała się wypowiedź minister rozwoju regionalnego (2007-2013) Elżbiety Bieńkowskiej: - Sorry taki mamy klimat. Wprawdzie było to w innych okolicznościach, podczas srogiej zimy i związanych z nią utrudnień podróży na kolei, ale problem pozostawał ten sam. Zawsze winna była pogoda. I zawsze trudno było przewidzieć skutki jej kaprysów, a rządzący chcąc nie chcąc, mieli związane ręce ograniczeniami budżetowymi, przepisami prawnymi, no i samą wolą konkretnych decydentów.

W latach 1997-1998 po nawiedzeniu Polski przez powódź tysiąclecia, podczas której zginęło kilkanaście osób, a straty oszacowane zostały na wiele miliardów złotych, Agencja Rynku Rolnego poszkodowanej ludności przekazała 111 ton masła, 214 ton konserw mięsnych i 53 tony smalcu. Na tyle było ją stać. Lech Wałęsa przeznaczył skromne środki finansowe dla... dzieci, na... łakocie. Dodatkowo, zapewne z pobudek propagandowych, a jednocześnie, by pokazać pewnego rodzaju bezsilność władzy w takich sytuacjach, „oddał na licytację na rzecz powodzian swój kij do gry w bilarda”.

No właśnie, to naprawdę nie jest śmieszne, gdy płoną domy, gdy niszczej uprawy rolne, gdy traci się dobytek całego życia, a państwo bezradnie rozkłada ręce.

Pamiętajmy przy tym, że w warunkach współczesnej demokracji nie ma już takich możliwości, jakie były w scentralizowanej gospodarce. Państwo ma ograniczone możliwości in-



gerencji w sytuacjach klęsk żywiołowych. W szczyrych do bólu słowach ówczesnego premiera Cimoszewicza było wiele prawdy - musimy też sami bardziej się zabezpieczać. Nie ma interwencjonizmu państwowego w działalność zakładów przemysłowych, płacą one jedynie podatki. Nie ma wojska, które wysyłano kiedyś „na odsiecz” poszkodowanym. Pozostaje jedynie możliwość udzielenia pomocy doraźnej w ramach posiadanych środków ustalanych w kolejnym budżecie rocznym, a te są ograniczone.

No i, co jest bardzo ważne, póki nas rządzący nie wymanewrują ze struktur Unii Europejskiej, pozostaje możliwość korzystania z pomocowych funduszy unijnych.

Jak zatem żyć, gdy pogoda nie sprzyja? To pytanie również w tym roku staje się wyjątkowo zasadne. Latem mamy katastrofalnie upalne, Polskę nawiedziły rekordowe, niespotykane dotąd upały. Te same, które w Japonii doprowadziły do śmierci wielu ludzi, które wcześniej dotknęły także niemal całą Europę, z powodów których płonęły lasy w Szwecji, a w Grecji przestępcze zachowania jakiegoś bezmyślnego podpalacza, który z zamysłem wypalenia kilku hektarów lasu chciał poszerzyć swoją posiadłość i utrudnić dostęp do morza nielegalnie budującym tam domy, spowodowały niewyobraźną wcześniej tragedię.

Najdotkliwiej tegoroczne letnie upały, a wcześniej już od kwietnia panująca susza, dotknęły rolników, sadowników, czyli polską wieś. Trudno jest jeszcze oszacować straty, gdyż będzie to czynione aż do końca września. Dramat braku wody i nadmiernych, nie spotykanych dotąd w Polsce upałów trwa nadal. Wstępnie na początku lipca szacowano, że ogółem suszą objętych zostało ponad 30 proc. gospodarstw, przy czym niemożliwe było jeszcze oszacowanie strat dotyczących pastwisk, a zwłaszcza produkcji pasz związanej z brakiem lub obniżeniem wielkości zbiorów, które zahamują dalszą produkcję trzody chlewnej, bydła i ptactwa.

Jeszcze przed zmianą ministra rolnictwa, były minister Jurgiel interweniował w Unii Europejskiej o uruchomienie programu pomocy z funduszy budżetu unijnego. A pod koniec czerwca Krajowa Rada Izb Rolniczych zwróciła się do ministra rolnictwa i rozwoju wsi o zapewnienie odpowiednich środków finan-

sowych na działania pomocowe. W wyniku tych działań, jak i w aspekcie postępującego nadal dramatu związanego z gorącym latem, rząd, biorąc pod uwagę straty, w niektórych regionach kraju wyjątkowo dotkliwe dla rolników, którzy na skutek długotrwałej suszy i letnich upałów utracili tegoroczne zbiory, na początku sierpnia br. wydzielił środki pomocowe w wysokości 800 milionów złotych, podejmując decyzję o wypłacie odszkodowań - po oszacowaniu strat przez specjalnie komisje powołane do tego celu przez wojewodów i samorządy. Wstępne warunki wypłaty odszkodowań zakładają, że będzie to - w przypadku, gdy straty wyniosą ponad 70 proc. upraw - pomoc bezpośrednia w wysokości tysiąca złotych za hektar zniszczonych upraw.

Nie są to ostateczne środki pomocowe. Opracowywany jest cały pakiet pomocowy, zakładający m.in. umorzenie składki KRUS, podatku rolnego, udzielania prolongat spłaty zaciągniętych pożyczek, czy też możliwości otrzymania niskoprocentowanych kredytów na odnowienie produkcji rolnej lub zwierzęcej.

Lokalne struktury partyjne PSL podjęły też starania, by zapewnić sprawne działanie powoływanych komisji szacujących straty, a wypłaty przyznanych odszkodowań by następowały w jak najszybszym terminie, nie jak kiedyś po pół roku.

Podjęto również szereg innych działań mających nie tylko zapewnić pomoc poszkodowanym rolnikom, ale także umożliwić planową odbudowę zniszczonych przez suszę i upały: upraw, inwentarza i bazy paszowej.

Dużą rolę do odegrania w kwestii przewidywania coraz częściej występujących w kraju klęsk żywiołowych związanych ze zmieniającym się klimatem, i w tematach walki o zdrowe powietrze, poprawę klimatu i likwidację zagrożeń ekologicznych mają instytucje pozarządowe i sami obywatele.

Najlepszym tego przykładem może być masowo występujące w tym roku podpalanie dużych prywatnych wysypisk śmieci. Okazało się bowiem, że niedoprecyzowanie niektórych aktów prawnych dotyczących gospodarowania wysypiskami, i ludzka przy tym bezmyślność, stały się powodem wielu takich podpałów.

Letnie upały ułatwiły podpalaczom pozbycie się uciążliwych śmie-

ci, a bezkarność lub też zbyt niskie kary za tego rodzaju czyny, stworzyły warunki do oplącalności takiego procederu.

Sprawcy nie mieli przy tym skrupułów, że powodują niewyobraźalne straty dla środowiska naturalnego, dla ludzi. Prawo oczywiście natychmiast zmieniono, doskonaląc przepisy i wprowadzając surowe obostrzenia, ale pozostała nadal potrzeba większego uświadamiania społeczeństwa o zagrożeniach, jakie dla otoczenia wywołuje sam człowiek. Potrzeba też więcej inspiracji do ekologicznego myślenia. Musimy w większym jeszcze zakresie tworzyć warunki do rozszerzania ekologicznych upraw, funkcjonowania spalarni śmieci, ekologicznego ogrzewania domów i mieszkań.

No i ubezpieczajmy się w firmach ubezpieczeniowych; od pożarów, powodzi, zalania, zniszczeń burzowych. Ubezpieczyciele prywatni z dużą uwagą podchodzą do tego, jakie warunki spełniają sami mieszkańcy, by uniknąć tragedii losowo - pogodowych. Czy nie budują oni swych domów i zagrod gospodarskich na terenach zalewowych, czy właściwie zabezpieczają konstrukcje domostw, czy w przemyślny sposób planują produkcję rolniczą itp. To wszystko staje się tym bardziej ważne, że - jak wykazały warunki tegorocznego gorącego lata - nie jesteśmy w tych dramatach na świecie osamotnieni.

Tegoroczne gorące lato dało się we znaki nie tylko Polakom. Fala upałów zalała bowiem niemal wszystkie kontynenty, podnosząc znacznie temperatury także na biegunach, co przyspieszyło niebezpieczne topnienie lodów.

Bijący od kilkunastu lat na alarm naukowcy, którzy mieli kłopoty z przekonaniem rządów wielu państw do swych teorii ocieplania się klimatu i potrzeby racjonalnego gospodarowania - ograniczenia emisji dwutlenku węgla, obniżenia poziomu emisji gazów cieplarnianych i ograniczenia doprowadzania do mórz i oceanów związków chemicznych azotu i potasu - dostali nowe, przekonujące argumenty, że pilne działania ratunkowe muszą być podejmowane w skali całego świata. Przyroda, broniąc się przed nadmiernym jej ekspansjonizmem ludzkim, zyskuje na przewadze. Powodując nieodwracalne skutki w naturze, zagraża całej ludzkości.

**Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo**

# Obiecanki, cacanki...

Wspólnie jednak, wszystkich Polaków najbardziej ucieszyłoby, gdyby kolejny rok sprawowania swej funkcji przez prezydenta rodaków sympatyzujących z PiS, stał się rokiem prezydenta wszystkich Polaków, przestał dzielić i... przestał budzić czarne wizje.

Ani się obejrzelśmy, a tu pstryk i aminęły trzy lata. Trzy długie lata kadencji naszego prezydenta Andrzeja Dudy. Celowo nie piszę, że pierwszej, bo akurat należę do tej części społeczności, która zdążyła w tym samym czasie obudzić w sobie nadzieję, że jedynej. Ba, gdyby to było możliwe, chętnie nawet by tę dalszą mitręgę z narodem prezydentowi skróciła. Czy da się bezstronnie spojrzeć na te minione trzy lata, na ich dorobek głowy państwa, nie ulegając jakimkolwiek zewnętrznym sugestiom, czy też politycznym modom? Można by było spróbować, chociaż wydaje się to niezwykle trudne.

Trudne, wręcz niemożliwe, gdyż podstawowe cechy charakteryzujące ten urząd w praktyce politycznej wszystkich państw, w których obowiązuje system prezydencki, to prawo - traktowane także jako obowiązek - reprezentowania całego narodu.

Prezydent Andrzej Duda, jak żaden inny dotąd prezydent po transformacji ustrojowej, od samego początku sprzeniewierzył się temu obowiązkowi, oficjalnie opowiadając się za reprezentowaniem partii rządzącej. Z socjologicznego punktu widzenia tego młodego i mało doświadczonego w polityce mężczyzny, nie dorósł on do sprawowania funkcji głowy państwa w pełnym systemie odpowiedzialności zbiorowej. W łączeniu interesów wszystkich zbiorowości tak o charakterze politycznym, jak i społecznym.

Ten brak doświadczenia skutkuje od samego początku trzymaniem się, jak w przypadku dziecka sukienki matki, mankietu prezesa partii rządzącej, którego polecenia bez namysłu wykonuje.

Nie będę oceniał dorobku tych trzech lat sprawowania władzy przez prezydenta, bo i nie czuję się do tego powołany. Moje doświadczenia politologa z zawodu, ale i byłego żołnierza nakazują mi raczej skupienie uwagi na problemie zasadniczym. A jest nim znany wszystkim obowiązek sprawowania podstawowej funkcji „strażnika konstytucji”.

To nie czcze obiecanki, chociaż i to w kampanii wyborczej Andrzej Duda nam obiecał. Wystarczy otworzyć Internet i wejść na popularnego facebooka, by przekonać się, ile brudnej wody z tego powodu w każdej chwili wylewa się na człowieka, który w kampanii wyborczej obiecał przecież, że nie będzie malowanym prezydentem, strażnikiem żyrandola, że nie będzie długopisem bezmyślnie podpisującym ustawy. Że będzie prezydentem wszystkich Polaków.

Obłuda niektórych polityków ze świecznika partii rządzącej jest nadto widoczna i coraz mocniej dotyka już ich samych. Dotyczy ona wielu tematów, ale temat konstytucji jest tematem podstawowym. To na konstytucję składał swoje ślubowanie prezydent Duda. Na konstytucję i niekiedy także biblię składają przysięgi wobec narodu wszyscy światowi prezydenci. Na świętość, czy też dwie świętości, które gwarantują wierność wobec zasad najważniejszych - zapewniających bezpieczeństwo i wolności obywateli.

Konstytucja, tak jak dla katolików biblia, dla obywateli jest najważniejszym dokumentem gwarantującym ich prawa, powinności i wolności obywatelskie.

Tymczasem?... Ale czy konstytucją można się bawić? Według prezydenta tak. Dał temu wyraz również ostatnio, gdy - nieudolnie zresztą - usiłował przekonać obóz rządzący do referendum na jej temat. Referendum przez opozycję postrzeganego, jako próbę ucieczki od odpowiedzialności za jej wcześniejsze łamanie.

Ostatnia batalia PiS, z aktywnym udziałem prezydenta zresztą, o polityczne podporządkowanie sobie wymiaru sprawiedliwości, wywołuje przedłużające się protesty społeczne, szerokim echem odbija się w świecie, niszczy autorytet Polski wypracowany przez poprzednie rządy.

To prawda, PiS wszedł w lukę, jaką przed ostatnimi wyborami stworzyła swym głębokim kryzysem o charakterze moralnym poprzednia partia rządząca, Platforma Obywatelska. Ale charakter dobrej zmiany, jaką zapowiadano, miał jednoczyć naród, miał tworzyć lepsze warunki życia, zapewniać powrót tych, którzy wcześniej wyemigrowali za chlebem. Tak się niestety, nie dzieje.

Osobiście źle kojarzą mi się zmiany wymuszone przez historię, przez naród, przez rządzących. Już samo pojęcie z cechą pewnego wymuszenia, nosi w sobie zadatki rewolucji,



Rysuje Zdzisław Opatko

dyktatu, czy też bezwarunkowego nakazu, za nie podporządkowanie którego grożą jakieś sankcje.

Byłem świadkiem opuszczania przez wojska sowieckie zajmowanych przez ich jednostki wojskowe terenów (garnizonów) pod Legnicą. Pamiętam, z jaką czcią Sowieci odnosili się wcześniej do pomników swego wodza rewolucji - Lenina. Ten kult przekładał się i na nasze stosunki, a nawet wdzierał się w tradycje wzajemnego odnoszenia się do partyjnej współpracy. - Popiersia Lenina stały w każdym gabinecie sekretarzy PZRR, były symbolem komunistycznych przemian.

Kiedy Rosjanie opuścili nasz kraj, na ich pustych placach koszarowych pozostały ogromne śmietniki zniszczonego sprzętu i śmieci, a wśród nich... przeważnie gipsowe, resztki porozbijanych pomników Lenina. Nie wiem, czy zniszczone w obawie, że jeśli tego sami nie zrobią, zrobią to potem Polacy, czy może ze złości, że wódz ich zawiódł: nie gwarantując wiecznego trwania w komunizmie.

Oczywiście, że śmieszne w tym kontekście wydawały się potem rozszczenia dyplomacji radzieckiej do trocki o pozostawione na terenie Polski inne pomniki - przyjaźni polsko-radzieckiej i braterstwa broni. Polacy jednak długo mieli z tym problem, ale i ten ich czas minął.

Z historii dawnej naszych miast znamy też inne przykłady burzenia pomników. Były to pomniki władców poprzednich epok. Jest tak zawsze, taka jest nasza mentalność narodu, że nie lubimy mieć wokół siebie obcych symboli, obcych pomników. Ale też jesteśmy nie konsekwentni w uczuciach wobec swoich pamiątek. Nie mamy tradycji szacunku dla symboli narodowych poza flagą, godłem i hymnem narodowym. Nawet religijne, bardzo silne doznania po śmierci świętego Jana Pawła II, niczego nie zmieniły w tym zakresie.

Nie jesteśmy narodem tak silnie współcześnie związanym z religią katolicką, jak usiłuje nam to manifestować hierarchia kościelna, a tym bardziej w przesadnie sztuczny sposób nasi rządzący. Wystarczy w tym względzie porównać obecny stosunek rodaków do pomników wielkiego Polaka - papieża z nocnymi czuwaniem po jego śmierci, z manifestacjami katolicyzmu, gdy od nas odszedł.

Nie twierdzę oczywiście, że to było na pokaz. To było autentyczne,

ale nasze uczucia wobec wielkości są z natury nietrwałe, czasowe i okazjonalne. Tacy jesteśmy. I niestety rządzący powinni to brać pod uwagę, a zwłaszcza powinni o tym wiedzieć, że liczba pomników, przesadna liczba symboli upamiętniających ludzi, którzy z jakiegoś - choćby dramatycznego powodu - weszli do naszej historii, wcale nie pomnikami i trwałymi symbolami utrwala ich ślad w naszej codzienności. Marszałka Piłsudskiego nie pomniki utrwaliły, nie pomniki zapisały na trwałe w naszej pamięci takie postaci, jak: Kopernik, Kościuszko, Maria Curie-Skłodowska, czy chociażby nasi wielcy duchowni prymas Wyszyński i Jan Paweł II. Utrwaliły i nadal to czynią w naszej świadomości ich epokowe dokonania.

Czyż już teraz, niedługo od tego, jak zaczęto masowo stawiać pomniki Lecha Kaczyńskiego, jak zbyt rozrzutnie dekominizując nazwy ulic, placów, rond, szkół, rozpoczęto nadawać im imiona byłego prezydenta, wielu z nas nie przeżywa stresu z powodu powstających na tym tle waśni? Nie przeżywa rozgoryczenia, gdy dochodzi do przepychanek w samorządach lokalnych o to, czy coś ma, czy nie ma się nazywać jego imieniem? Czy nie odczuwamy niesmaku, gdy masowo na pomnikach byłego prezydenta, który oczywiście miał inne zdanie od swojego brata na temat naszej ustawy zasadniczej, protestujący przeciwko temu, co z nią obecnie czynią rządzący, wieszają się banery, koszulki i plakaty z napisem: „Konstytucja”?

Brak logiki, brak przewidywalności w działaniach władzy budzi społeczny niepokój. Hasło dobrej zmiany zaczyna być rozumiane opacznie. - „Polska cała tylko biała!” - krzyčeli narodowcy 5 sierpnia na manifestacji w Warszawie. A pisiaki - jak mawia o członkach PiS profesor Jadwiga Staniszkis - zmianę rozumieją jeszcze szerzej - Polska to tylko działacze PiS i ich wyborcy, to ojciec Rydzyk i jego religia, to... Nie rozszerzajmy tej myśli, każdy sam sobie może pod nią dal-

**SILNI, ZWARCI, GOTOWI  
NIEZAWODNI PARTNERZY EUROPY**



**TAJNY PUNKT OBSERWACYJNY  
WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ**

szą treść podłożyć. Poprzestaśmy na argumentach, na faktach.

Wcześniej, czy później pomniki brata szefa partii rządzącej, tak jak wszystkie wcześniejsze pomniki dyktatorów zostaną usunięte. Świat jest na tyle obłudny i podły, że potrzebuje zmian. I to w bardzo wielu aspektach, gdyż inaczej nie przetrwa.

Znany człuchowski jasnowidz Krzysztof Jackowski, wypowiadając się ostatnio w mediach, zwierzył się, że bardzo go dręczą dwie sprawy, dwie wizje. Nie będę ich przybliżał, bo nie są one dobre.

Czasami cieszy nas, gdy coś się nie spełnia. Cieszy nas, gdy nie dochodzi do tragedii, kiedy zdarzyło się po temu warunki, czy też, gdy zamiast przewidywanego na lato chłodu i deszczu, jest ciepło i sucho. Różne rzeczy cieszą różnych ludzi, bo różne są ich potrzeby i gusta.

Wspólnie jednak, wszystkich Polaków najbardziej - myślę - ucieszyłoby, gdyby kolejny rok sprawowania swej funkcji przez prezydenta rodaków symaptyzujących z PiS, stał się jednak rokiem prezydenta wszystkich Polaków, przestał dzielić i... przestał budzić czarne wizje, choćby człuchowskiego wizjonera - Jackowskiego, o których można przeczytać w gazetach.

**Jan Stanisław Smalewski  
Bąkowo**

18 lipca br. mszą św. mieszkańcy Słupska i regionu, oraz liczni goście uczcili 80. rocznicę urodzin ks. Jana Gariatowicza, emerytowanego proboszcza słupskiej parafii św. Jacka. Wierni dziękowali Bogu wraz ze swoimi biskupami diecezjalnymi za posługę wszystkich lat charyzmatycznego kapłana i społecznika. Ksiądz Jana można nazwać współczesnym „Szaleńcem Bożym”, który podjął, przez lata swojego kapłaństwa, nieustrudzone dzieło wyjścia do każdego człowieka z ewangelią dobroci, miłości i pomocy ludzkiej. Dziś można już ocenić to jego wielkie dzieło w aspekcie różnych przemian ludzkich. Między innymi teraz ks. Jan spędza najwięcej czasu w konfesjonale, spowiada tak wielu wiernych, że przypomina postać św. Jana Vianey z Ars we Francji, który udzielił rozgrzeszenia przez swoje całe kapłaństwo ponad milionom Francuzów.

Znakomita pisarka Z. Kossak-Szczuczka (w tym roku mija 50. rocznica jej śmierci) napisała piękną powieść „Szaleńcy Boży”, w której opowiada o ludziach opanowanych świętą bitwą o Boga. Do takich osób można zaliczyć również ks. Jana, który każdy dzień przeznaczał na walkę współczesnymi środkami o istnienie w naszym życiu Boga. Misję tą wypełniał nie tylko w kapłaństwie, ale dawał również świadectwo w nieustrudzonej działalności społecznej na rzecz Słupska i jego mieszkańców. Przekazywał - i przekazuje nadal napotkanemu na swojej drodze człowiekowi świadectwo istnienia Boga.

Pisałem wielokrotnie o księdzu Janie, bo byłem związany z nim przez przeszło 35 lat, od momentu kiedy został proboszczem parafii św. Jacka w Słupsku. Powiat Słupski też publikował już moje artykuły na jego temat. Kiedy teraz piszę po raz kolejny, przypomina mi się pierwsza homilia naszego obecnego papieża: „Kiedy idziemy bez krzyża, gdy budujemy bez krzyża i kiedy wyznajemy Chrystusa bez krzyża, nie jesteśmy uczniami Pana. Jesteśmy ludźmi doczesnymi: biskupami, kapłanami, kardynałami, ale nie uczniami Pana” - mówił papież Franciszek.

To przesłanie od wielu lat realizuje ks. Jan, idzie z krzyżem ulicami naszego miasta, wprowadza symboliczne krzyże do naszych mieszkań, urzędów, na sale wykładowe i do życia publicznego, stawia na rozstajach

Otrzymał w prezencie na swoje 80. urodziny książkę pt. „Ksiądz prałat Jan Gariatowicz - Kapłan i społecznik”, jej bohater tak skomentował: - Teraz wszyscy księża to społecznicy - machnął ręką i z właściwą sobie skromnością dodał: - należałoby popętnić dużo większą książkę o parafii, o ludziach, którzy tutaj nie narzekali, tylko robili, co mogli. A ilu jest takich, którzy działają w ukryciu, wolontariuszy, modlących się, ofiarujących cierpienie...

## Szaleniec Boży

dróg i w kapliczkach przydomowych. Przypomina mi się też film Rolanda Joffé pt. „Misja”. Ciekawą jego postacią jest charyzmatyczny ojciec Gabriel, który realizuje swoją misję dla Indian Guarani w Ameryce, zakładając Boskie Państwo. Odnajduję w tym filmie analogię do postaci ks. Jana, który z kolei podjął się przez wszystkie swoje lata misji stworzenia w Słupsku Boskiej przestrzeni.

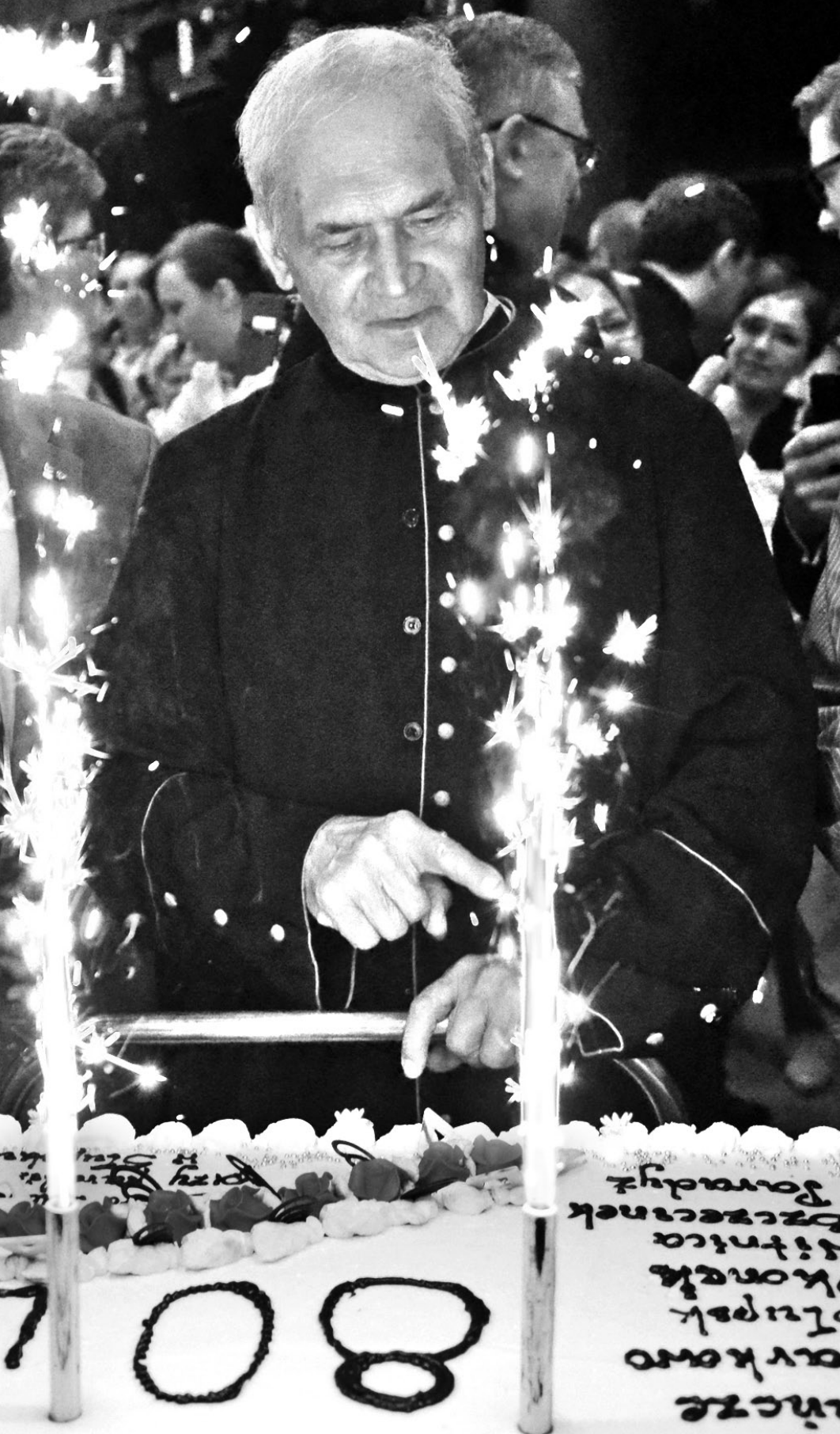
Ks. Jan wyrósł z kresowej społeczności, która przeżyła po II wojnie światowej najtrudniejsze lata, utraciła swoje małe ojczyzny i rozpoczęła tułaczkę, szukając swojego nowego miejsca. Urodził się na Wileńszczyźnie, a po wojnie z rodzicami osiedlił się na ziemi słupskiej. - To powołanie wyprosiła mama swoją modlitwą i cierpieniem - wspomina Teresa Kochanowska, najmłodsza z szóstki rodzeństwa księdza. - Mama cierpiała na ostry gościec. Nasza czwórka urodziła się, kiedy już chorowała. I codziennie, czy deszcz, czy pogoda, upierała się, żeby tata wiozł ją na wózku do kościoła. Potem też nie ustawała w modlitwach za Jasia i za jego parafian, za dzieci, które chrzczył, za małżeństwa, którym błogosławił. Żył ciężko, ale rodzice mówili, nam dzieciom, że nie biedy trzeba się bać, tylko grzechu. Jasiu za pasanie krów od ludzi dostawał kromkę chleba. To najpierw biegł z nią do mamy, żeby się podzielić. Nie bał się żadnej pracy. Całe wakacje trzeba było robić w polu, albo zbierać jagody, żeby było na książki i zeszyty. Choć ciężko pracował, był też pierwszym uczniem w szkole.

Tutaj, w Słupsku od Niższego Seminarium Duchownego zaczęła się jego kapłańska droga i tutaj wrócił w 1976 roku - najpierw do parafii mariackiej, a pięć lat później do

powstającej parafii św. Jacka. W niej duszpasterzował od 1981 roku do emerytury, na którą przeszedł dopiero trzy lata temu. W swoim pracowitym życiu zawsze kierował się odwagą, mówił prawdę, był patriotą, zawsze przypominał o obowiązku miłości do ojczyzny.

Tak wspomina pierwsze spotkanie z ks. Janem biskup Edward Dajczak - ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej: - W centrum życia ks. Jana jest ołtarz, ale nie tylko tam można go spotkać. Poznałem księdza Jana, gdy sam byłem raczkującym księdzem. Miał zawsze czas dla człowieka, był. Zawsze miał czas dla młodych, którzy go licznie otaczali. To było pionierskie w tej części Polski, której mieszkańcy przybyli z różnych stron. Zjawiał się nie tylko w kościele. Gdy dzisiaj papież Franciszek mówi, że Kościół musi wyjść z murów, musi się trochę ubrudzić, żeby być pośród ludzi, to ks. Jan już wtedy tak właśnie duszpasterzował.

Przez lata dokonywały się przemiany, a on wciąż był wyrazistym znakiem, z jednoznaczną wiarą i jednoznacznym człowieczeństwem. Wierni słuchali z uwagą jego kazań i nauk, które dotyczyły zawsze pogłębienia wiary. Mówił o odwadze w postępowaniu zgodnie ze swoim sumieniem, o miłości do ojczyzny dlatego - bo ona jest tylko jedna, o ekologii w praktycznym wymiarze - aby Polska przyroda nie ucierpiała. Był wybitnym regionalistą. Pamiętam wspólny nasz wyjazd do Niepokalanowa na ogólnopolski zjazd księży regionalistów i muzealników. Jan reprezentował tam region Kaszubów. Teraz opowiada, jak Kaszubi znakują swoje narzędzia. - Krzyż musi być na początku, bo tylko pod tym znakiem Polska jest Pol-



ską, a Polak - Polakiem - uzasadnia jednocześnie demonstrując wycięty na trzonku młotka znak krzyża.

Z okazji 80. urodzin księdza ukazała się książka pt. „Ksiądz prałat Jan Giriatorowicz - Kapłan i społecznik”. Powstała pod redakcją prof. Daniela Kalinowskiego z Akademii Pomorskiej w Słupsku. Jest to autobiogra-

ficzny i kronikarski zapis najważniejszych wydarzeń w życiu księdza Jana. Mam osobistą satysfakcję, że umieszczono w niej też moje artykuły o księdzu. Ale książkę tę jej bohater tak skomentował: - Teraz wszyscy księża to społecznicy - machnął ręką i z właściwą sobie skromnością dodał: - należałoby popęlić dużo większą książkę o

parafii, o ludziach, którzy tutaj nie narzekali, tylko robili, co mogli. A ilu jest takich, którzy działają w ukryciu, wolontariuszy, modlących się, ofiarujących cierpienie...

Kieszenie sutanny ks. Jana to już odrębna ciekawostka. Są pojemne i rozciągliwe, bo ich zawartość jest też różnorodna. Są w nich ukryte małe buteleczki ze święconą wodą, zafoliowane torebeczki z solą egzorcyzmowaną, święte obrazki, ziarno dla ptaków, cukierki dla dzieci, zawsze mała harmonijka ustna i nieokreślona ilość różańców. - To wszystko służy do ewangelizacji Słupska, jego mieszkańców - twierdzi - do wyjścia do ludzi - tych wierzących i niewierzących, którzy ciągle poszukują Boga.

Słupski kapłan rozda też ludziom karteczki z wezwaniem: „Zbaw duszę swoją”. Albo: „Chroń zielen”. - Z upływem lat te moje kieszenie robią się coraz większe. Chyba się rozciągają - przyznaje.

Po mszy, na uroczystą galę zorganizowaną księdzu w słupskiej filharmonii, przyszli zaproszeni goście, razem z nimi był też wspomniany już bp Edward Dajczak, bp senior Paweł Cieślik i słupscy prezbiterzy. Wypowiedzieli wiele ciepłych słów o księdzu Janie, przekazali wiele życzeń. On w podziękowaniu przytoczył wszystkim maksymę bp Pluty, kierowaną do początkujących księ-

ży: „Macie odchodzić z tego świata z przepracowania” i dodał: - to nas chwytalo, tak chcieliśmy widzieć nasze kapłaństwo. A potem bp Ignacy Jeż mówił: „najprostszą drogą do nieba jest robić zwykłe rzeczy w sposób nadzwyczajny”.

**Włodzimierz Lipczyński**  
**Słupsk**

# Takie zwyczajne i niezwykcyjne życie

W 1955 roku ożeniłem się z Elfriedą Glieffe. Była to piękna kobieta i moje zupełne przeciwieństwo – spokojna, opanowana, rozsądna, cierpliwa, inteligentna, pracowita... Pilnowała bym stał się stateczny. Przeżyliśmy wiele lat w zgodzie. Ale jej nie było łatwo, mimo że nie uważała się za Niemkę i stąd pochodził jej ród, traktowano ją jak Niemkę i nie akceptowano. Dlatego rozpocząłem starania o przyznanie jej obywatelstwa polskiego.



Wydaje się, że życie upływa wszystkim jednakowo. Oczywiście, są ludzie żyjący w sposób wyjątkowy, pełen przygód i niezwykłych wydarzeń. Patrzymy, przyglądamy się i zazdrościmy, że udaje im się ten ziemski czas spędzić inaczej, lepiej zagospodarować. A przecież ramy życia są zawsze takie same. Rodzimy się, dorastamy, pracujemy, starzejemy i wreszcie odchodzimy na drugą stronę. Ale jeśli uważnie przypatrzymy się temu, co jest w tych ramach, to okaże się, że każde życie jest inne, ma inne tło, zabarwienie.

- Urodziłem się w Leszkowicach, w całkiem sporej wsi podlubelskiej, nad rzeką Wieprzą, w 1935 roku, w chałupie wystarczająco dużej, by pomieścić dwie rodziny i dziadków - wspomina swój los Stanisław Grudziń. - Nim potrafiłem wyjść poza podwórko wybuchła wojna, więc dzieciństwo upływało mi w atmosferze strachu, podsłuchiwanym rozmów dorosłych o okropnościach popełnianych przez okupantów. Ale naocznie przekonałem się o tym, gdy w szkole zjawili się żołnierze niemieccy i wyciągnęli wszystkie dzieci pochodzenia żydowskiego. Nauczyciel stał z boku bezradny w obliczu tego aktu. Niemiec wyczytywał nazwiska z kartki. Koledzy, przynajmniej jeszcze wczoraj, posłusznie wstawali i ustawiali się pod tablicą. Na koniec oficer nakazał ich wyprowadzić pod eskortą na zewnątrz. My mieliśmy z nauczycielem iść za nimi. I szliśmy drogą, a z chałup wypędzano mieszkańców zmuszając pod lufami karabinów do dołączenia się do tego pochodu. Szliśmy w milczeniu, bezradni i bezwolni. Hitlerowcy wiedli wszystkich za granice wsi, do pobliskiego lasu. Tam już nad wielkimi dolami stali

miejscowi Żydzi. Chłopców dołączono do ich rodziców. Wiedzieliśmy, co się stanie. Będą zastrzeleni, a mieszkańcy zmuszeni do zasypania dołów. Żydzi stali przerażeni. Nikt nie patrzył na nich. Nie było pewności, czy potem i nas tak nie potraktują... - zamilkł, wpatrzony w głąb siebie, a po chwili kontynuował: - Nie patrzyłem, nie mogłem. Buntowała się we mnie cała natura. Nie, żeby darzył Żydów specjalną sympatią, ale to byli nasi sąsiedzi. Żyli tu od pokoleń. Nie wadzili. Rozległa się salwa, a potem bezładna strzelanina. Wtedy postanowiłem, że jeśli uda mi się przeżyć, to już nigdy nie będę taki bezradny. Że jak dorosnę, to nie pozwolę sobie na strach. Nauczę się strzelać, zdobędę karabin... - głos zabrzmiał twardo.

- Wojna się skończyła. Z dnia na dzień poczułem się bezpieczny. W 1946 roku wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane. Ale najpierw kobiety z rodziny Grudniów pojechały sprawdzić pogłoski, przekonać się naocznie o możliwościach, jakie są na ziemiach odebranych Niemcom, ile jest prawdy w propagandzie. Po powrocie opowiadały o opuszczonych domach i wielkich obszarach ziemi do przejęcia, o wysiedleniach Niemców. Po wielogodzinnych rozmowach, naradach, oddelegowano ojca, by znalazł odpowiednie gospodarstwo. Dojechał do Potęgowa i tu się zatrzymał. Podjął pracę na kolei, a w wolnym czasie penetrował okoliczne wsie w poszukiwaniu odpowiedniego gospodarstwa. I znalazł w Wieliszewie. Po jego powrocie, rodzice zdecydowali o wyjeździe.

Ależ się cieszyliśmy. Spakowaliśmy cały dobytek, zapasy żywności i wszystko, co niezbędne do przetrwania w nowym miejscu. Załadowaliśmy się do pociągu i po trzech tygodniach dotarliśmy do Potęgowa. A stąd już na pieszo do Wieliszewa. Na rogatkach wsi zatrzymała nas żołnierka, Rosjanka i po przepytaniu, dała papier z oznaczeniem domu, który mieliśmy objąć. Okazało się, że mieszkała tam jeszcze rodzina niemiecka - Kautch. Jakoś się pomieściliśmy. Kobiety dogadały się dość szybko i pomagały sobie. Tym bardziej, że na tych ziemiach brakowało żywności. Tutejsza ludność obrabowywana była zarówno przez cofające się oddziały niemieckie, jak i przez zwycięzców. Toteż osiedleńcy często wyjeżdżali w strony rodzinne po żywność. Taka podróż trwała nawet trzy tygodnie, bo

często pociągi kierowano na bocznicę, przepuszczając transporty wojskowe. Nie były to podróże bezpieczne. W każdej chwili SOK-iści mogli zarekwirować żywność. A i pospolicci rabusie grasowali na kolei.

Dość szybko przyzwyczailem się do tej wsi. Ojciec z bratem ciężko pracowali, ja niby też pomagałem, ale kiedy oni siadali zmęczeni, mnie goniło. Wszędzie musiałem zajrzeć, poznać. Łatwo zawierałem znajomości. Z nowymi osadnikami, z żołnierzami ruskimi stacjonującymi we wsi. Nawet nie wiem kiedy, stałem się niepisany przywódca chłopaków. Stało się to chyba w szkole: jako jedyny płynnie czytałem i pisałem, bo jeszcze w Leszkowicach chodziłem do szkoły. I teraz pomagałem innym.

Wkrótce Wieliszewo nie miało dla mnie tajemnic, zacząłem zwiedzać sąsiednie wsie. Tam również zdobywałem kumpli. No i nie należałem do tych najgrzeczniejszych. Ciągłe wpadały mi do głowy jakieś pomysły, psoty... - mój rozmówca zamilkł, po chwili uśmiechnął się i ciągnął opowieść o chłopięcych pomysłach. - Na pobliskich polach Rosjanie wypasali zdobyczne krowy, które miały być odtransportowane do Związku Radzieckiego. Chwilowo pasły się, a Niemki je doily. Pewnego razu z chłopakami zacząłem się w krzakach i poszczułem krowy psem, który wpadając między naczynia z mlekiem, wylał je. Pilnujący krów i udoju Rosjanin wściekł się i zaczął nas gonić, mierząc z karabinu. Udało się nam uciec.

Innym razem dowiedziałem się, że żona komendanta oddziału stacjonującego w Malczkowie w domku hoduje króliki. I chętnie wymieni się na kury. Złapałem chyba ze cztery kury do worka i rowerem pojechałem do Malczkowa. Komendantowa, niezbyt trzeźwa, otworzyła mi pokój, w którym roilo się od królików. Skorzystałem z okazji, wypuściłem kury i dawaj łapać króle do worka. Wybiegłem, wsiadłem na rower i próbowałemjechać z tym ruszającym się workiem. Jakoś przejechałem może dwa kilometry, gdy usłyszałem tętent za sobą. To konno gonił mnie komendant, wymachując bronią i strzelając w powietrze. Z wrażenia spadłem z roweru do rowu, worek się rozwiązał i króliki rozbiegły się. Komendant mnie dogonił, wrzeszcząc o szachrajstwie i żądając zwrotu królików. Stałem nie bardzo wiedząc, czy łapać zwierzaki, które korzystając

z wolności, rozbiegły po rowie, śmiać się, czy szykować na najgorsze, komendant naprawdę był wściekły. Zostałem aresztowany i doprowadzony na posterunek milicji w Łupawie. Zapytany przez Rosjanina o nazwisko, podałem pierwsze lepsze, które mi wpadło do głowy - Bocian Jan. I to uratowało mnie, bo szukano Bociana, a nikt takiego w Wieliszewie nie znał. Komendantem posterunku był Szłapak, a pomocnikiem Dorosiński. Nie wiem, jak załatwił to z tym Ruskim, ale po kilku godzinach wypuścił mnie i zakazał w najbliższym czasie kręcić się po okolicy. Ot, młody byłem i żądny przygód!

Przypominam sobie jeszcze, jak to kupiłem niemiecki motor DKW 250. Miałem wtedy 13-14 lat. Ależ wtedy szpanowałem. Sam go naprawiłem. Paliwo zdobywaliśmy od żołnierzy za bimber i jeździliśmy po okolicy. Sprzedałem go potem milicji w Łupawie, bo mieli tylko rowery, a patrolowany teren ogromny - gmina skupiała wtedy dwanaście wsi.

Po wojnie broń można było znaleźć wszędzie - w lasach, w chałupach, a i od ruskich żołnierzy odkupić za bimber. Z chłopakami zgromadziliśmy całkiem spory arsenał. Wprawiałem się w strzelaniu. Po lasach. Dopiero, kiedy wstąpiłem do Służby Polsce skrzyknąłem paru chłopaków i urządziliśmy naukę strzelania. Za łupawskim cmentarzem była poniemiecka strzelnica i tam ćwiczyliśmy. Z całej okolicy przychodzili - z Goglewa, Dąbrówna, Podola, Dobrej... Każdy chłopak chciał sobie postrzelać. Już całkiem legalnie, w ramach przysposobienia wojskowego, z bronią daną przez państwo. Władza miała do mnie zaufanie i szybko doceniono moje umiejętności organizacyjne. Zostałem przewodniczącym łupawskiej grupy SP.

Wstąpienie do organizacji Służba Polsce dało mi niespodziewanie szansę na znalezienie swojego miejsca w życiu. Uprawa roli nie bardzo mnie pociągała, więc miałem się różnych zawodów. Jeździłem do różnych miejsc do odgruzowywania, budowania, remontowania. Byłem w Bytowie, Koszalinie, Sławnie, Zimowiskach. To była taka brygada budowlana z siedzibą w Słupsku. Prowadzili nabór robotników, dawali zaliczkę na poczet wypłaty i wysyłali do różnych zadań. Właśnie SP mi to umożliwiło. No i miałem własne pieniądze. Byłem niezależny. Przydzielany do murarzy,

tyńkarzy, zdunów, stolarzy uczyłem się wszystkiego, ale najbardziej ciekawiły mnie maszyny i ich działanie.

Ze Służby Polsce przeszedłem do pracy w Związku Młodzieży Polskiej w Koszalinie, skąd przeniesiono mnie do Słupska. Kierowałem i organizowałem brygady młodzieży do pomocy przy żniwach. Po otwarciu zakładu torfowego w Wieliszewie, przeszedłem do niego, bo to było bliżej domu. Dopiero po odbyciu zasadniczej służby wojskowej zatrudniłem się w PGR-ze w Łupawie jako stolarz i pracowałem do emerytury.

Lata pięćdziesiąte to dalszy ciąg przesiedleń, ale już zorganizowanych. Niemcy wyjeżdżali, a przybywali przesiedleńcy ze wschodu, z Podkarpacia, z biednych terenów, zwabieni możliwościami zatrudnienia w pegeerach. Jedni zostawali, inni po czasie wyjeżdżali. Coraz więcej ludzi podejmowało pracę w PGR, nie mając specjalnego wyboru. Opustoszałych domów było sporo, ale z ziemią już było gorzej. Większość wchłonęły PGR-y.

W Łupawie ja, Jan Chwał i Franciszek Wenta zaczęliśmy organizować Ochotniczą Straż Pożarną. Biednie było. Konie ciągnęły pompę, która ledwo działała. Ale wierzyliśmy, że nam się uda zdobyć jakiś samochód z demobilu, naprawimy, a władze trochę pomogą. I udało się. Teraz OSP w Łupawie jest dobrze wyposażona i działa sprawnie. Zbierają pochwały, nagrody i mają sprzęt. Jednocześnie uczyłem się, żeby mieć świadectwo ukończenia siedmioklasowej szkoły. Marzyłem o oficerskiej szkole lotniczej. Chciałem być lotnikiem. Ale oblałem egzamin wstępny. Dostałem powołanie do zasadniczej służby wojskowej. Przydzielono mnie do garnizonu w Pile. Było to lotnisko. Zostałem mechanikiem i podobało mi się to. Oczywiście, poinformowałem dowództwo o zawarciu związku małżeńskiego. Miałem służyć trzy lata i sześć miesięcy, ale po meldunku moją służbę znacznie skrócono, odsunięto od pracy przy samolotach. To była forma szykany za poświęcenie Niemki.

W 1955 roku ożeniłem się z Elfriedą Glieffe. Była to piękna kobieta i moje zupełne przeciwieństwo - spokojna, opanowana, rozsądna, cierpliwa, inteligentna, pracowita... - zamilkł, wpatrując się w fotografię żony. Czarno-biała, mocno sfatygowana. - Pilnowała bym stał się stateczny. Przeżyliśmy wiele lat w zgodzie. Ale jej nie

było łatwo, mimo że nie uważała się za Niemkę i stąd pochodził jej ród, traktowano ją jak Niemkę i nie akceptowano. Dlatego po powrocie z wojska rozpocząłem starania o przyznanie jej obywatelstwa polskiego. Udało się to dopiero w 1964 roku. Akt uznania Elfriedy, Idy, Bertę z domu Glieffe nosi datę 27 maja 1964 roku. Jednak nadal byliśmy inwigilowani, z racji tego, że żona miała rodzinę w RFN, która przysyłała paczki, listy. Sąsiedzi docenili to dopiero w czasie stanu wojennego i potem, gdy potrzebne były leki, w Polsce nie do zdobycia.

Po odbyciu służby wojskowej, podjąłem pracę w PGR w Łupawie, w stolarni. Umiałem naprawiać różne maszyny, uruchamiać sprzęt, zdobywać części. Wiedziałem, że w wielu wsiach są stolarnie, częściowo rozmontowane, rozebrane, jeździłem tam, wymontowywałem użyteczne elementy i tak z kilku udało mi się uruchomić jedną, która też się często psuła, ale niestrudzenie szukałem części. Potrafiłem ich szukać wszędzie, nawet trafiłem do fabryki mebli. Wieści o moich umiejętnościach szybko obiegły okolice i zapraszano mnie do Czarnej Dąbrówki, Potęgową, żebym im pomógł uruchomić nie tylko maszyny stolarskie, ale sprzęt rolniczy, gospodarczy. Byłem w swoim żywiole! - pan Staś uśmiechał się do tych wspomnień. Dłuższą chwilę milczał, gmerał palcami wśród zgromadzonych na stole przedmiotów, by po chwili otworzyć eleganckie ciemnozielone pudełeczko. W środku był ciężki medal z wytłoczoną głową jelenia. Przypatrywał się mu przez chwilę.

- Łupawę ze wszech stron otaczają lasy. Żyje w nich wiele zwierząt i nadleśniczy, zapalony myśliwy, w 1948 roku powołał Koło Łowieckie. Powstało ono przy Szkole Milicyjnej w Słupsku. Przyjęło nazwę „Gwardia”. Ówczesny komendant chętnie wspierał takie inicjatywy. Do wstąpienia do tego koła namówił mnie nadleśniczy Jarosiewicz. Poręczył za mnie. I tak zaczęła się moja przygoda z myślistwem, które stało się moją największą pasją. W 1961 roku zostałem pełnoprawnym członkiem koła. Polowałem 55 lat. Mam odznaki za upolowanie największego dzika, największego jelenia. Wbiłem gwóźdź w drzewce sztandaru, a to przywilej najlepszych myśliwych. Działo się to podczas obchodów 65-lecia koła w 2013 roku. Obecnie jestem najstar-

szym jego aktywnym członkiem, co zostanie uhonorowane w listopadzie, w Święto Myśliwych.

W ramach wymiany myśliwych polowałem w tajdze archangielskiej. Chciałem zapolować na niedźwiedzia, ale nie było mnie stać. Skończyło się na borsuku. W Niemczech polowałem na zajęce i dziki, gdy wyjechałem w odwiedziny do rodziny. Myślistwo to nie tylko polowania. To całoroczna praca - obserwacje zwierzyny, liczenie populacji, gromadzenie paszy na zimę, dbałość o paśniki, zbieranie wnyków, zapobieganie kłusownictwu. Broń myśliwska jest bardzo droga i w zasadzie nigdy na siebie nie zarobi. A myśliwy też nie może strzelać byle kiedy. Okres polowań jest ściśle określony. A po zakończeniu polowania trzeba się rozliczać z oddanych strzałów... - Pan Staś wyjmując swoją broń z futerału, gładzi pieścotliwie i chowa z powrotem. Wyniósł broń, a wróciwszy kontynuował: - To zamiłowanie przejął po mnie wnuk. Już od piętnastu lat. A ja, póki zdrowie pozwalało, chodziłem do lasu nie tylko na polowanie, ale na grzyby, na spacer. Ślady zwierząt dużo mi mówią. Czasami tęsknię za tym czasem, gdy się zasadzało na zwierzynę czy szło grupą w las...

I dzisiaj chętnie poszedłbym na polowanie. Mam listę zwierzyny do odstrzału. Ale moje nogi już całkiem odmawiają posłuszeństwa. Bolać mnie stopy i nie mogę chodzić. Gdyby mnie ktoś zawiózł do lasu, pod ambonę, to może udałoby mi się wspiąć na nią i zasadziłbym się na jakiego zwierza. Poczuc zapach lasu, usłyszeć tupot biegnącego stada i trzaski gałęzi łamanych przez przedzierającego się jelenia, szelest poszycia gdy skrada się lis, a... może zobaczyć wilka...

Na dużym stole leżą pamiątki po niedzysiejszych czasach, a pan Staś coraz częściej zanurza się w milczeniu, pogrąża we własnych wspomnieniach. Nie wszystko da się ubrać w słowa. I nie każde słowo odda istotę tamtych czasów i przeżyć. Tym wspomnieniom zawsze już będzie brakowało zapachów smaków, gestów, dźwięków. Bo to też ma wpływ na indywidualność losu. Życie to działanie, gesty, uczucia, a o tym bardzo trudno opowiedzieć. Utrwalone na piśmie, na fotografii nie mówią całej prawdy. Nasze życie to również inni ludzie i ich słowa, o których też trudno opowiedzieć.

**Teresa Nowak, Łupawa**





*Są ludzie i są prace ludzkie,  
tak silne i tak potężne, że  
śmierć przewyciężają, że żyją  
i obcują między nami.*

*J.P.L.f.*

**Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek  
POLSKA POWSTAŁA, BY ŻYĆ**

Miejsce urodzin Marszałka jest pod opieką  
Związku Polaków na Litwie

Dąb, jako symbol wieczności,  
posadzony został 10 października 1937 roku  
przez Prezydenta Rzeczypospolitej  
Ignacego Mościckiego  
i Marszałkową Aleksandrę Piłsudską  
w miejscu kolebki pierwszego  
Marszałka Odrodzonej Polski  
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.

Ši amžinybė simbolizuoja antą žuolą,  
kur gimė pirmasis Atgimusios Lenkijos  
Maršalka JÓZEF PIŁSUDSKI,  
1937 m. spalio 10 d. pasodino  
Lenkijos Respublikos Prezidentas  
Ignacy Mościcki bei Ponia Aleksandra Piłsudska.

# Jak Polacy bronili na Litwie swojej polskości

„Kochajmy Polskę! Ona jest tego warta” – głosi jedno z przestań Polaków mieszkających na Litwie. Rodaków obowiązuje też pięć prawd: Jesteśmy Polakami, Litwa – ojczyzną, Polska – macierzą naszą, Ziemia ojców – naszą ziemią, Mowa i wiara dziadków – mową i wiarą wnuków, Polak Polakowi i ludziom wszystkim bratem.

Litwa ogłosiła swoją niepodległość 11 marca 1990 roku, ale już wcześniej dawano się wyczuć zbliżającą się wolność. Jak nikt inny oczekiwali jej mieszkający tam Polacy. Duża grupa rodaków, licząca ponad 2 tys. osób pracowała w tym czasie w wileńskiej Fabryce Aparatury Paliwowej. W sierpniu 1988 roku na poufnej naradzie Jan Hermanowicz, Jan Andrzejewski i Karol Śnieżko zdecydowali o powołaniu na terenie fabryki Oddziału Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie. Nie było łatwo przekonać kierownictwo zakładu, że taki narodowościowy związek nie będzie miał złych zamiarów wobec Litwinów. Powołanie oddziału powierzono Janowi Andrzejewskiemu. Zebrał on grupę zaufanych osób, m.in.: Jana Wyszomirskiego, Krysty-

nę Ponamorową, Danutę Nazarenko, Mieczysława Subela, Jana Szuszkiewicza, Jerzego Barancewicza, Janinę Danowską. Napisali protokół o założeniu OSSKPL, który postanowili nazwać imieniem poety Władysława Syrokomli, by nie kojarzył się z polityką.

Założenie organizacji nie było rzeczą prostą. Każdy, kto szedł załatwiać sprawy, nie wiedział czym to się dla niego skończy. Zadania tego podjęli się jednak ludzie, wyrzekając się awansów służbowych, narażając siebie i swoje rodziny na niebezpieczeństwo utratę pracy i szykany. Podejmowali działania na rzecz obrony polskości, wartości katolickich i tradycji, nie bacząc na konsekwencje. Zapłaciła za to, niestety Danuta Nazarenko, plastyczka, którą zwolniono z pracy.

**Będzie pomagał Polakom tak, jak oni pomogli jego matce**

Za oficjalną datę powstania stowarzyszenia przyjęto 1 września 1988 roku. Na rozmowę z dyrektorem Algirdasem Didzulisem poszli: Jan Andrzejewski, Jan Wyszomirski, Mieczysław Subel i Jan Szuszkiewicz. Uczestniczyli w niej też sekretarz organizacji partyjnej zakładu - Jerzy Rogielewicz i przewodniczący Rady Związków Zawodowych - Dawid Epsztejn, wielki przyjaciel Polaków. Powiedział, że będzie zawsze pomagał Polakom, tak jak oni pomogli kiedyś jego matce!...

W gabinecie dyrektora grupa inicjatywna przedstawiła program i plan działania. Zaznaczyła, że będzie współpracować z „Sajudisem” - Litew-

skim Ruchem na Rzecz Przebudowy. Do kontaktów i współpracy z dyrekcją wyznaczono dr. inż. Zenona Bohdanowicza. Dyrektor A. Didżulis zezwolił na powołanie oddziału i zadeklarował wszelką pomoc, w tym materialną. Poleciał nawet dyrektorze Zakładowego Domu Kultury Janinie Danowskiej, by to ona zarejestrowała oddział stowarzyszenia. Zrobiła to i z jego okrągłej pieczęci, stempla korzystały później także inne organizacje, zanim się zarejestrowały.

W zakładowej drukarni wykonano: legitymacje, deklaracje, ulotki, plakaty, a także cegielki na zbieranie pieniędzy na działalność stowarzyszenia. Liczba członków w ciągu roku wzrosła do tysiąca! Dołączały koła innych zakładów Wilna, szkolne, studenckie, plastyków, rodzinne, nauczycieli. Był to jeden z największych oddziałów i istniał do powołania Miejskiego Oddziału Związku Polaków na Litwie, na którego prezesa wybrano Czesława Okińczycza, a na sekretarza - Jana Andrzejewskiego.

W pracy stowarzyszenia zaangażowało się wiele innych osób: Lilia Brazis, Jolitta Tryk, Ryszard Jaroszewicz, Jan Jarmalkowicz, Jan Kozicz, Aleksander Żyndul, Roma Salavejute, Danuta Kuzborska, Leonard Kondratowicz, Roma Sajuk. Jerzy Barancewicz odpowiadał za kampanię wyborczą Czesława Okińczycza kandydującego na posła do parlamentu Litwy. Dzisiaj jest jednym z sygnatariuszy Aktu Nieodległości Litwy z roku 1990.

## Historia zniszczonego plakatu

Oddział SSKPL pracował aktywnie, pomimo że nie był przyjaźnie traktowany przez ówczesny rząd litewski. Członkowie zaangażowali się w utworzenie Towarzystw Przyjaciół Wilna i Grodna w Łodzi, Krakowie i Słupsku. Byli organizatorami obchodów 200-lecia Konstytucji 3-go Maja. Z wielkim poświęceniem opracowali przebieg uroczystości, przygotowali plakaty, zdobyli pozwolenia na przemarsz pochodu i z narażeniem życia zorganizowali uroczystości. Do dzisiaj opowiadana jest historia przygotowanego plakatu. Jego projekt opracował plastyk Czesław Połoński z udziałem Danuty Kuzborskiej i kilku innych członków Związku. Plakaty wydrukowano w zakładowej drukarni. Zrobił to drukarz Wiesław Ple-

tenicki, późniejszy fundator Fundacji Kultury Polskiej. Oczywiście był to druk nielegalny. Cały nakład został przekazany przez płot fabryczny Janowi Andrzejewskiemu i Danucie Kuzborskiej. Zauważyła to straż zakładowa i próbowała plakaty odebrać. Kuzborskiej udało się uciec, a Jan Andrzejewski został zatrzymany. Jak się później okazało, nic przy nim nie znaleziono. Ponieważ ktoś doniósł zakładowej służbie bezpieczeństwa, że Pletynicki wydrukował nielegalne plakaty, wezwano go do dyrekcji i nakazano publicznie je zniszczyć. Plakatów jednak już nie było. Pan Wiesław wydrukował więc w nocy nowe i komisyjnie zniszczył. Za tę pracę i inną działalność drukarską dla kultury polskiej po latach został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

## Polacy razem z całego świata

Reaktywowano tradycyjne Wileńskie Kaziuki. Ważną okazała się

pomoc udzielana polskiej młodzieży mieszkającej na Litwie w odejmowaniu studiów w Polsce. Stowarzyszenie wydawało rekomendacje, i przekazywało młodych ludzi pod opiekę stowarzyszeń Przyjaciół Wilna i Grodna w Krakowie, Łodzi, Toruniu, Olsztynie.

Powstało też Stowarzyszenie Inżynierów Polskich na Litwie. Zorganizowało m.in. międzynarodowe sympozjum „Polacy razem”, w którym wzięło udział ponad 200 Polaków rozsianych po całym świecie. Zostało ono bardzo dobrze odebrane przez wszystkich i przysporzyło pozytywnej opinii polskiemu środowisku na Litwie. Dzisiaj organizuje też Konkurs na Inżyniera Roku, który popularyzuje dokonania Polaków w zakresie techniki wspomagające rozwój litewskiej gospodarki. Inżynierem Roku 2013 został Jan Andrzejewski, od początku inicjujący szeroką współpracę ze słupskimi organizacjami. Powstał Polski Uniwersytet Trzeciego Wieku, który współpracuje z Towarzystwem Przyjaciół Wilna i Grodna, Uniwer-



sytetem Trzeciego Wieku i Naczelną Organizacją Techniczną w Słupsku.

## Jedna trzecia słupszczan to Kresowiaczy

W Słupsku Kresowiaczy i ich potomkowie, a w szczególności Wilnianie stanowią ponad jedną trzecią społeczności. Zmiany ustrojowe w Polsce i na Litwie umożliwiły współpracę. Rozpoczęła się ona w 1989 roku z inicjatywy Mariana Boratyńskiego - prezesa Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna. W marcu 1990 roku zorganizowano Jarmark Kaziukowy. Z Wilna przyjechało 20 osób z Janem Andrzejewskim i Danutą Kuzborską. Przyjechali dziennikarze, poeci i artyści. Wkrótce działacze słupskiego Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna pojechali do Wilna. Pomocą objęto domy dziecka na Litwie, dowożono im dary, a w okresie wakacji zapraszano dzieci polskie na wypoczynek u słupskich rodzin. Do dzisiaj wielu pamięta wystąpienie prof. Ryszarda Kuźmo z okazji obchodów w 2004 roku Świąta Niepodległości 11 listopada w słupskim teatrze i wystawy fotografów przywiezione w 2016 roku przez Jana Andrzejewskiego.

W sierpniu 2003 roku podpisana została umowa o współpracy Stowarzyszenia Techników i Inżynierów Polskich na Litwie ze słupskim Stowarzyszeniem Inżynierów i Techników Rolnictwa. Słupska organizacja włączyła się do przygotowania konferencji „Polacy razem - Polska myśl techniczna w Unii Europejskiej”, w Wilnie w 2004 roku. Przygotowano referaty, zaprezentowano na niej też wystawę i filmy o ziemi słupskiej. W 2005 roku za sprawą Jana Andrzejewskiego słupszczanie zostali włączeni w proces pojednania członków organizacji kombatantów AK i byłych żołnierzy Litewskich Oddziałów Lokalnych. Zorganizowano wspólny przyjazd członków obu organizacji na Pola Grunwaldzkie.

W kolejnych latach zorganizowano międzynarodowe konferencje poświęcone wykorzystaniu odnawialnych źródeł energii w gospodarce komunalnej Polski i Litwy, problemom technologiczno-ekonomicznym w energetyce, problemom energii odnawialnej. Konferencje te odbyły się w Wilnie, Niemenczynie i w Ignalinie. Materiały ukazywały się w biuletynie „Technik Wileński” oraz

były szeroko komentowane w polskojęzycznej prasie wileńskiej i w „Powiecie Słupskim”.

W 2009 roku trzy słupskie organizacje - PZiTb, PZiTs i SITkom podpisały w ratuszu umowę o współpracy ze Stowarzyszeniem Sanitarно-Budowlanym w Wilnie. Delegacje NOT uczestniczyły wielokrotnie w uroczystościach nadawania tytułu „Inżynier Roku” oraz jubileuszach Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Odbyła się też wspólna konferencja poświęcona wymianie doświadczeń w zakresie energii jądrowej. Wzięli w niej udział również przedstawiciele Starostwa Powiatowego w Słupsku. Wtedy podpisany został w Domu Kultury w Wilnie list intencyjny o współpracy powiatu słupskiego z rejonem Niemenczyn. Poeci z Litwy zaczęli publikować swoje wiersze we „Wsi Tworzącej” i antologiach powiatowych, a dzieci i młodzież szkół wileńskich uczestniczyć w słupskim konkursie literackim im. Wandy Chotomskiej.

## Budować mosty przyjaźni, a nie stawiać mury

Odbyły się wyjazdy na dożynki w powiecie słupskim, Niemenczynie i Pikieliszkach na Wileńszczyźnie. W 2014 roku zorganizowano wspólną konferencję i wystawę pn. „Mosty Wilna i ziemi słupskiej”. Prezentowała nie tylko problemy techniczne, ale zwracała również uwagę na potrzebę budowania mostów przyjaźni, a nie stawiania murów. Konferencji tej towarzyszyło podsumowanie słupskiego międzynarodowego konkursu twórczości dzieci i młodzieży. W obecności Józefa Kwiatkowskiego - posła na Sejm Litwy i prezesa Macierzy Szkolnej wręczono nagrody dzieciom z Wileńszczyzny. Imprezę uświetnił zespół „100 uśmiechów” z Centrum Kultury Polskiej na Litwie im. Stanisława Moniuszki.

## Proces współpracy i pojednania

Efektom prowadzonej współpracy jest też wydanych sześć książek autorstwa Jana Andrzejewskiego i niżej podpisanej, prezentujących współczesną historię związaną z organizacjami polskimi na Litwie i dorobek współpracy. Większość wydana została w Wilnie, natomiast album „Polska-Li-

twą. Pojednanie Przebaczenie” przygotowało i wydało słupskie starostwo w nakładzie gwarantującym przekazanie go do wszystkich szkół powiatu słupskiego i na Ziemi Wileńskiej.

Ryszard Kuźmo z przedstawicielami Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i prezesem Władysławem Ławrynowiczem ze Stowarzyszenia Plastyków Polskich na Litwie „Elipsa” wziął udział w projekcie „Aktywizacja seniorów - spotkania z kulturą” realizowanym w ramach Słupskich Kaziuków 2016. Redaktor Bożena Bugańska ze słupskiej telewizji „Vectra” zrealizowała kilka filmów o Wileńszczyźnie i jej historii. Prezentowane są one w telewizji słupskiej oraz w Domu Kultury Polskiej w Wilnie. Film o Władysławie Syrokomli z udziałem prof. Józefa Szostakowskiego ze Stowarzyszenia Naukowców Polaków na Litwie wykorzystany był na integracyjnym spotkaniu członków NOT z młodzieżą V Liceum Ogólnokształcącego im. Zbigniewa Herberta w Słupsku. Młodzież pod kierownictwem prof. Joanny Janusiak dała na nim przepiękny koncert nawiązujący do twórczości swego patrona.

W ub. roku Jan Andrzejewski uczestniczył w narodowym czytaniu „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego zorganizowanym przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Słupsku oraz w dożynkach w Bierkowie.

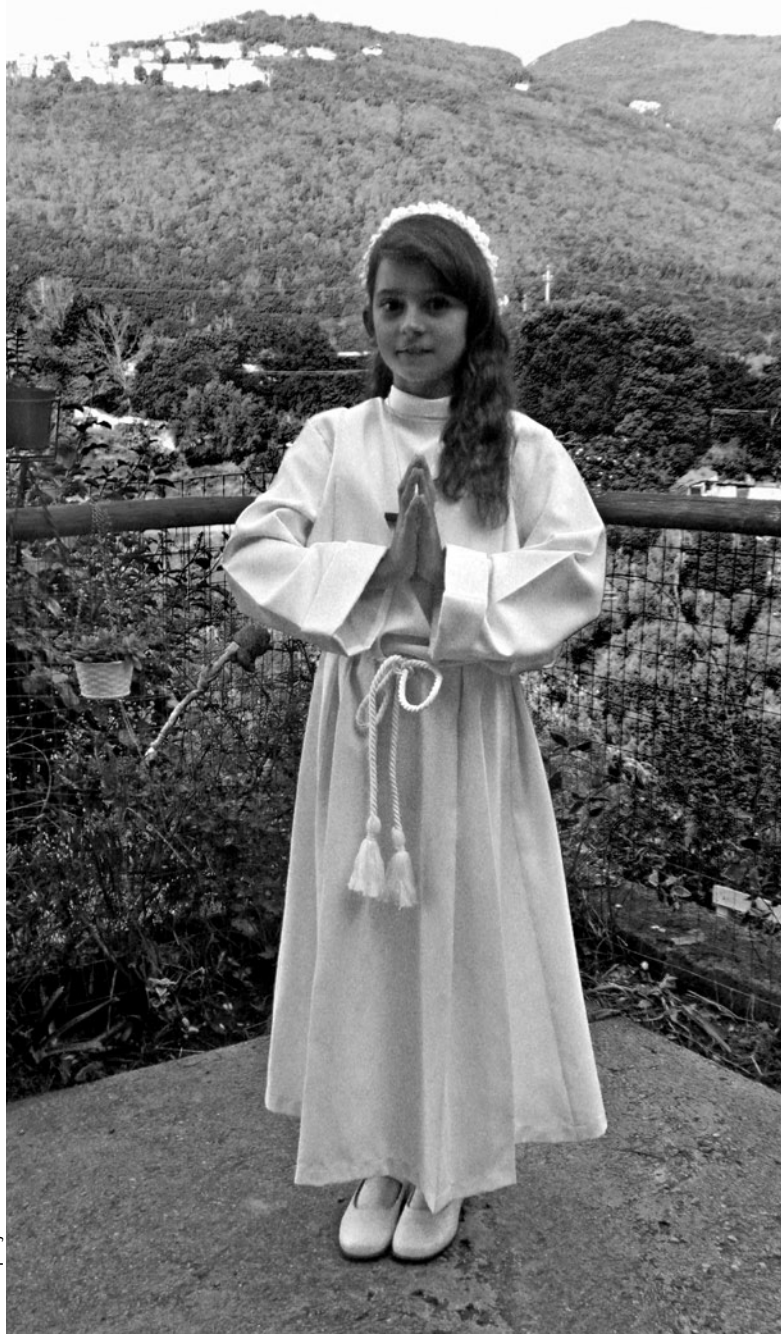
## Obchody jubileuszu w Wilnie i Słupsku

Niebawem, bo pod koniec września br. członkowie Naczelnej Organizacji Technicznej wezmą udział w obchodach jubileuszu 30-lecia powstania Oddziału Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie im. W. Syrokomli organizowanych w Domu Kultury Polskiej w Wilnie oraz w Dożynkach Wileńszczyzny w dworcu Józefa Piłsudskiego w Pikieliszkach. Natomiast wcześniej, bo na początku września członkowie organizacji polskich na Litwie, w tym Stowarzyszenia im. W. Syrokomli uczestniczyć będą w obchodach 50-lecia Naczelnej Organizacji Technicznej w Słupsku. Przygotowano dla nich bogaty program w ramach projektu „Poznajmy swoje korzenie”, współfinansowanego przez słupskie starostwo.

**Krystyna Popiel  
Słupsk**

# Pierwsza komunია po włosku

Po wykonaniu rodzinnego zdjęcia, udaliśmy się wszyscy – dwadzieścia osób, kilkoma samochodami na zasadnicze, tradycyjne przyjęcie – na prowincję do gospodarstwa agroturystycznego. Lokal nazywa się szumnie „Club Natural Smile” Via Piana, jest położony na zalesionym wzgórzu, skąd rozciąga się malowniczy widok na dolinę, pasące stada owiec i bezludną okolicę.



Fot. W. Lipczyński

w ramach religijnego wychowania rodzinnego oraz katechety szkolnej i parafialnej. Jest ona powiązana z przygotowaniem do sakramentu pokuty, pojednania i nawiązuje do Wieczery Pańskiej. Tradycja ta, zaniechana we wczesnym średniowieczu, została wznowiona i odnowiona pod postacią hostii, około 100 lat temu za papieża Piusa X, który do niej zachęcał. Przed I wojną światową do pierwszej komunii przystępowało się w kościele katolickim około 16 roku życia. W 1914 roku wspomniany papież Pius X zmienił wymagania wiekowe, uznając, że religijny klimat rodzin sprzyja do wcześniejszego kształtowania świadomości i pobożności dzieci. Teraz dzieci przystępują do pierwszej komunii świętej w wieku 10 lat.

\* \* \*

Jest maj 2018 roku. Jestem we Włoszech, u mo-

**P**ierwsza komunია święta ma określona definicję: jest to przyjęcie Chrystusa Eucharystycznego po raz pierwszy przeżywane we wspólnocie kościoła podczas trwającej uroczystej celebracji mszy. Dzieci ochrzczone uczestniczą w poprzedzającej formacji eucharystycznej, dokonywanej

jej wnuczki Marty i córki Małgorzaty oraz jej włoskiego męża Salvatore na uroczystościach pierwszej komunii świętej w miejscowości i gminie Sant Oreste, w regionie Lacjum, prowincji Rzym. Miasto swoją nazwą nawiązuje do Świętego Oresta, historią sięga do średniowiecza i jest położo-

ne na jednym ze szczytów wydłużonego masywu górskiego, o tej samej nazwie. Zabudowa na wysokości ponad 600 metrów nad poziomem morza urzeka nie tylko szczególnym położeniem, ale oryginalnością. Pięknie wiją się pod górę wąskie uliczki, a w głębi ukryte są średniowieczne kamieniczki ozdobione wieloma gazonami bujnych i pięknych kwiatów. W centralnym miejscu usytuowany jest zabytkowy kościół Świętego Lorenza, w którym będzie się odbywać uroczystość pierwszokomunijna dla miejscowych dzieci. Całość przestrzeni, czyli masyw górski, wierzchołki skaliste, stoki z bujną roślinnością i historyczne obiekty są objęte ochroną i stanowią rezerwat krajobrazowy oraz tereny wypoczynkowo-turystyczne dla aglomeracji rzymskiej pod nazwą „Riserva, Naturale Monte Sorate” - Provincia di Roma.

Dzieci do przystąpienia do pierwszej komunii przygotowują się przez dwa lata. Czas ten przypada zwykle na piątą, rzadziej na czwartą klasę szkoły podstawowej. Przygotowania trwają w parafiach, niezależnie od lekcji religii. Rodzice indywidualnie - nie klasami, zapisują dzieci na uczestnictwo w nauce „catechismo” w miejscowym kościele. Praktycznie od drugiej lub trzeciej klasy dzieci intensywnie pobierają nauki o poznawaniu prawd wiary. W trzeciej klasie, przy końcu roku następuje pierwsza próba. Uczestnicy spisują swoje grzechy na karteczkach, po spowiedzi otrzymują baloniki, do których przywiązują karteczki z grzechami i wypuszczają je, by powędrowały do nieba. Jest to symboliczny i plastyczny gest w akcie odpuszczenia grzechów.

W ostatnim tygodniu przed uroczystościami dzieci chodzą do kościoła. Proboszcz, w średnim wieku, często gestykulujący, wygłasza im płomienne, oratorskie mowy i kazania. W przygotowaniu komunijnych uroczystości pomaga mu wikary (ksiądz Afrykańczyk), katechetki i zaangażo-

Fot. W. Lipczyński

wane rodzicielki. Szkoła w ostatnim tygodniu przerywa naukę dla dzieci i przekazuje je do dyspozycji kościoła. Czas ten jest wyłącznie poświęcony na ostateczne kształtowanie religijnej osobowości dziecka, przebiega na wspólnym udziale w nabożeństwach, modlitwach i podejmowanych próbach zachowania się w kościele podczas przygotowywanych uroczystości. W tym roku do pierwszej komunii przygotowywało się około 30 dzieci, troje miejscowych, a pozostałe z prowincji. Miasto się starzeje, występuje wielka emigracja ludzi, m.in. do dużych miast i na wieś, a przyrost naturalny jest mały. W maju prowadzone są wieczorami modlitwy do Matki

pewnione posiłki. Jednego dnia zorganizowana jest całodzienna pielgrzymka z misją do grobu św. Franciszka. W sobotę dzieci pozostają już z rodzicami w domach i czekają na niedzielną uroczystość. Ta, 20 maja br. miała charakter wyjątkowy, była bardzo podniosła i religijna. Całe miasto się na nią przygotowało, było pięknie udekorowane flagami kościelnymi, narodowymi i maryjnymi. Dzieci, wszystkie ubrane w białe alby, uczestniczą w imponującej procesji. Ruch aut na ten czas jest wstrzymany, przebiegiem uroczystości kieruje lokalna policja. O godz.10:00 rozpoczyna się msza święta. Miejsca w ławkach są wyznaczone dla rodziców i opie-

gdzie na kłęczniku z czerwonym obiciem przyjmują pierwszą komunię świętą. Na koniec uroczystości rozbrzmiewają w kościele gromkie brawa, wszyscy wzajemnie składają sobie gratulacje i podziękowania.

Zatrzymam się jeszcze na wystroju kościoła. Ołtarz cały był w kwiatkach, jedna z katechetek stworzyła spójną pionową ścianę z kwitnących roślin i przedstawiła cudowną kompozycję kolorystyczną z bieli i czerwieni, ułożoną z samych kwiatowych płatków. Codziennie roślinność była uzupełniana. Duże grono osób czuwało nad tym pięknym wystrojem. Wstawiono też do kościoła krzewy winorośli, stanowiące szczególny



Boskiej, jest odmawiana litania, a potem wspólne przeżywanie mszy świętej. Dzieci przystępujące do pierwszej komunii także aktywnie uczestniczą w tych nabożeństwach i ich udział jest w nich obowiązkowy.

Ritiro - dwa najważniejsze i ostatnie dni przygotowań to czwartek i piątek. Dzieci biorą wtedy udział w całodziennych zajęciach prowadzonych przez kościół od godz. 9:30 do 19:45. Praktycznie przebywają cały dzień w domu parafialnym, mają za-

kunów dzieci. Jedna para chłopiec i dziewczynka służą do mszy, pozostałe wnoszą dary i kwiaty, które składają na ołtarzu. W całym kościele rozbrzmiewa śpiew „Prima comunione”. Kościół jest ukwiecony i wystrojony. Po złożeniu kwiatów i darów dzieci tworzą zwartą grupę, poruszają się w kolumnie i uczestniczą aktywnie we wszystkich częściach mszy. W kulminacji uroczystości dziewczęta i chłopcy w wielkim skupieniu podchodzą pojedynczo przed ołtarz centralny,

symboliczny ornament komunijny. Cudne rośliny, ze starymi, poskręcanymi pniami, umieszczono w olbrzymich donicach. Na krzesła i kłęcznik uszyto specjalne pokrowce. Zostały opracowane okazjonalne książeczki z całym przebiegiem uroczystości, tekstami śpiewanych pieśni - kolorowe dla dzieci i rodzin, a czarno-białe dla pozostałych uczestników. Na zakończenie uroczystości dzieci otrzymały pamiątkowe dyplomy i okolicznościowe upominki.

Moje spostrzeżenia dotyczące kwestii obyczajowych i zachowania, są bardzo pozytywne. Dzieci były skupione, skromnie ubrane, dziewczynki ufryzowane, ale nie przesadnie, prosto, dziecięco. Przystępujących do pierwszej komunii w parafii Sant Oreste było w tym roku wyjątkowo dużo jak na warunki włoskie i nie można było sobie pozwolić na usadzenie ich obok, rodziców. Byłem tylko zaskoczony brakiem świec komunijnych w tak ważnym dniu. Jedna z katechetek powiedziała mi, że nigdy w uroczystościach komunijnych świec nie było! Można było po wyjściu z kościoła, po skończonej uroczystości, wypytać dzieci o prezenty. Otrzymały na ogół okolicznościowe dewocjonała, bombonierki, książki, ale też płaski telewizor z 32-calowym ekranem. Moja wnuczka otrzymała podobne, zróżnicowane prezenty. Siostra mojego zięcia Enza, która mieszka w mieście zaprosiła gości na „chwilowy” i mały poczęstunek do siebie zaraz po uroczystościach. Kiedy przyszedliśmy stół był już nakryty, na nim stała: woda, cola, fanta, kawa, herbata oraz wino i aperitify. Były też tace z małymi kanapeczkami. Podano ciasto.

Po wykonaniu rodzinnego zdjęcia, udaliśmy się - dwadzieścia osób, kilkoma samochodami na zasadnicze, tradycyjne przyjęcie. Pojechaliśmy na prowincję do gospodarstwa agroturystycznego. Lokal nazywa się szumnie „Club Natural Smile” Via Piana, jest położony na zalesionym wzgórzu, skąd rozciąga się malowniczy widok na dolinę, pasące stada owiec i bezludną okolicę. Obiekt jest rozbudowany o tarasy widokowe, wewnętrzne ogródki letnie i urządzenia zabawowe dla dzieci oraz rozplanowane miejsca wypoczynkowe, wyposażone w leżaki, sofy i hamaki. Menu było tradycyjne, włoskie i składało się z kolejno podawanych dań. Najpierw antipasta - przystawki zimne: sery, wędliny, szynki, smażone warzywa w cieście, bakłazany, kabaczki, cukinie, sałatki: z papryki, z kapustą modrą i

sałata. Następnie primi - pierwsze danie: risotto ze szparagami, kielbasą, makaron z oliwkami, czarne sosy z dodatkiem smażonych pieczarek. Na drugie danie - secondo - różne rodzaje mięs z grilla, tzw. mixa. Na główne danie podano jagnię przygotowane po myśliwsku z pieczonymi ziemniakami i sałata. Na deser: przepyszny specjalny komunijny tort z kremem, bitą śmietaną i truskawkami. Do picia podano dobre wina - białe i czerwone, coca-cole, kawę i herbatę. Na zakończenie przyjęcia wszyscy otrzymali na pamiątkę „Italia bomboniere” - białe serduszko płócienne z symbolami religijnymi, migdały w cukrze i okazjonalny bilecik.

Przyjęcie odbywało się w udekorowanej przeszklonej sali, mimo żaru lejącego się z nieba, nie odczuwało się wielkiego upału. Wieczorem spadł ulewny deszcz, było prawdziwe urwanie chmury i drogi gruntowe zamieniły się w potoki. Z wielką trudnością się je pokonywało.

Pożegnałem moją rodzinę włoską i moją piękną wnuczkę Martę, która jest prymuską w miejscowej szkole, uczy się na naukę tańca i intensywnie uczy się języka polskiego, bo planuje wakacje spędzić u dziadka, w Słupsku.

\* \* \*

Czym jest przystąpienie do pierwszej komunii świętej? Dokonując po raz pierwszy przystąpienia do stołu eucharystycznego, poprzez świętość tego faktu łączymy się z Chrystusem i tworzymy jedność między nami, chrześcijanami. Od spożywania tego boskiego chleba uzależnił Chrystus nasze zbawienie. W słowach swoich zapewnił o tym, mówiąc: „To jest chleb, który z nieba zstępuje - kto go spożywa, nie umrze i będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata”. Przyjmowanie Eucharystii uzdrawia nas wewnętrznie i ma zapewnić wieczność.

**Włodzimierz Lipczyński**  
Słupsk  
w.lipczynski@interia.eu

# ŁAKNĘŁA NORMAŁNOŚCI



Fot. wikipedia.org

**W sierpniu polska kultura straciła wyjątkową postać, ze świata muzyki odeszła Kora - Olga Sipowicz, Jackowska. 8 sierpnia na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie pochowano wielką artystkę.**

Wśród żegnających Korę był bardzo wzruszony jej śmiercią Wojciech Mann. Zabierając głos podczas żałobnych uroczystości podkreślił, że była ona „diamentem najczystszej wody”. Jego zdaniem o jej poglądach, co często podkreślała, miał mówić jeden z jej utworów „Granice”. - „Kora na swoim sztandarze zawsze miała napisane „WOLNOŚĆ” - podkreślił dziennikarz muzyczny, nawiązując w ten sposób do ostatnich wydarzeń w Polsce.

„Kiedy odchodzi artysta, to często jest okazja do przypomnienia jego osiągnięć, nagród, sukcesów. W przypadku Kory wydaje się to trochę zbędne, ponieważ wszyscy w jakimś momencie swojego życia zetknęliśmy się z jej twórczością, z jej karierą. I nie tylko z muzyką, ale i z jej poglądami, wypowiedziami”. Mann podkreślił, że należy przypomnieć nie to, co Kora w swoim życiu osiągnęła, ale jak to zrobiła. I powiedział, przypominając o niezależności artystki, że „dane jej było żyć w okresie różnych faz naszego kraju. Na początku był komunizm, potem komunizm z ludzką twarzą, później różne turbulencje. Była Solidarność, stan wojenny, demokracja, a wreszcie parodia demokracji. I przez te wszystkie okresy Kora szła z podniesioną głową i z jasnymi poglądami.”

Wcześniej jej mąż Kamil Sipowicz napisał, że Olga „była do końca wierna religii słońca, wiatru i kwiatów”. Przyjaciółka prof. Magdaleny Środa, żegnając Korę na Powązkach, także wspominała jej wyjątkową osobowość pełną niespożytej energii i podkreśliła, że po latach komunizmu łaknęła jak mało kto normalności. „Ostatnio - mówiła o rządzących - wściekała się na tych, którzy niszczyli jej szczęście.” Kora była radykalnie niezależna. Była wolna.

**Jan S. Smalewski, Bąkowo**

Nie wszędzie prowizorki wystarczą. Według mnie w zarządzaniu ten styl staje się normalnością. Efekty bywają opłakane. Już kiedyś w „Powiecie Słupskim” pisałem o budowie ścieżek rowerowych na zasypywanych rowach, o zaniedbanych burzówkach. W czasie bez opadów wszystko dobrze, nawet o konserwacji nikt nie pamięta. Wystarczyły jednak dwie, nawet niedłgie ulewy, a wiele garaży i piwnic znalazło się pod wodą.

W przypadku infrastruktury melioracyjnej trudno nawet mówić o gadżetomanii. Więcej tam szkody niż prowizorki. Gadżetomanię - bo tak można nazwać doraźne działania - zastosować można wszędzie. Takim przykładem była próba zmuszenia rolników do składania wniosków o dopłaty przez Internet. Zgodnie z prawem zgłoszenia powinien dokonać sam rolnik. W praktyce stało się to niemożliwe bez gruntownego szkolenia. To, że wnioski złożono w terminie, rolnicy z powiatu słupskiego w niemal stu procentach zawdzięczają kilku koleżankom i kolegom z ARiMR i PODR w Słupsku. Pracujących tam kilkoro osób potrafiło, dzięki profesjonalizmowi i osobistemu zaangażowa-

# Gadżetomania

Gadżet według definicji to urządzenie wspomagające, ułatwiające pracę. Jakość i trwałość gadżetów bywa różna. Czasami najważniejszy jest ładny wygląd. Od pewnego czasu idea gadżetów przeniosła się w sferę bycia, stylów postępowania, a ostatnio zarządzania.

niu, pomóc wykonać to co wydawało się niemożliwe. Osobiście obserwowałem jak koleżanki z ARiMR w ekspresowym tempie potrafiły tak pokierować rolnikiem, który przychodząc nie potrafił nawet włączyć komputera, że sam wypełnił i wysłał swój wniosek. Widać tam efekty dobrego zarządzania. Ludziom tym należą się podziękowania, nie tylko słowne.

Gadżetomania w zarządzaniu najczęściej jest udręką zarządzanych. W gospodarstwie rolnym na terenie jednej z gmin interweniowały dwie służby. Zgodnie z procedurą. Powodem była jakość pastwiska, na którym przebywały cielaki. Susza, więc jakość wiadoma. Interwencja dla interwencji. Rolnicy i tak w trudnym czasie mają wiele dodatkowej pracy. Choć-

by muszą dokarmiać zwierzęta na pastwisku paszą zgromadzoną na zimę. A procedury, które często bywają usprawiedliwieniem, to tylko papiery lub elektroniczne zapisy.

Wszystkich przypadków nie można przewidzieć i odnotowywać. Kłania się służba dzielnicowego. Ten dobrze zna swoich rolników i nie musi za każdym razem dokumentować swojej pracy wykonaniem zdjęć. Chyba, że nie chodzi o zwierzęta, a o obecność. Tym bardziej, gdy interwencja bywa spowodowana złośliwością donosiciela.

Przyglądając się temu, co dzieje się w rolnictwie i jak radzimy sobie z klęskami urodzaju lub suszą, gadżetomania musi skończyć się klęską. Brak prawidłowego płodozmianu, monokultura czy zapóźnienia w programach produkcji wymagają natychmiastowych działań. Jedyne ratunkiem jest powrót do nauki i doradztwa. Tylko gdzie go szukać? 40-lecie ODR w Słupsku obchodzono ostatnio bez specjalistów, bo ich praktycznie już nie ma. Daje to wiele do myślenia. Na uroczystościach nie zauważono jedynej przybyłej specjalistki pracującej od czasu powołania ośrodka...

Na szczęście w ODR w Słupsku pracuje jeszcze grupa innych osób, którym nie przeszkadza gadżetomania centrali, potrafią pracować i bawić się na zasadach koleżeńskich, tak jak to się powinno robić na tego typu spotkaniach. Radzą sobie również w skrajnych przypadkach, na przykład malując własnoręcznie nową siedzibę. Jak w tym czasie realizują zadania statutowe jest ich tajemnicą. Co z samokształceniem? Co na to procedury, jakości i bhp?

Przyglądając się różnym przypadkom z życia, jeszcze gorszym zjawiskiem w zarządzaniu od gadżetomanii jest działanie z pozycji siły, spowodowane najczęściej brakiem pomysłów, prywatą i politykierstwem. Ale - jak to mówią - może jakoś to będzie?

**Adam Jabłoński**  
NSZZ „S” RI, Słupsk



# Przy muzyce świerszczy młody, stary tańczy

Zmarła Emilia Zakręt, najpracowitszy człowiek jakiego w swym długim życiu znałam. Został po niej zadbane ogródek z białymi, różowymi i czerwonymi piwoniami, różami i innymi kwiatami.

Lato, cudne złociste. Lipiec 2018 roku, pogodny, słoneczny. Spokojna moja ojczyzna przeżywa czas długiego oddechu po ostatniej wojnie. Oby Bóg chronił nas przed pożarem wojny zawsze - na zawsze. Kiedy idę ścieżką do mego ogródka, położonego nad jeziorem patrzę i podziwiam cud stworzenia. Jak to Stwórca zrobił, że mimo miliardów roślin, żywych istnień każde jest inne i niewyobrażalnie doskonale. Jakie cudne są owoce i liście leszczyny, orzecha włoskiego, maliny, jeżyny. Tylko te cuda pod błękitem nieba podziwiać i całym swym istnieniem wchłaniać to boże piękno. Przeżyłam już długie lata na tym świecie. Ostatnie spędziłam na pięknej pomorskiej ziemi we wsi Izbica, dawniej ostoi Kaszubów. Przed 100 laty w tej wielokulturowej społeczności żyli również Żydzi, Cyganie. Szczególnie ta grupa, odznaczała się odrębnością tak w wyglądzie, jak i w sposobie by-

cia. Od dawna zmuszani do osiedlania chętnie opuszczają dom, pole i własność. Praca dla nich jest rzeczą mało istotną. Przy wszystkich niedostatkach unikają regularnego zatrudnienia. Do szybszego działania porusza ich jarmark i muzyka. Mają to we krwi bez nut i książek. Dziewczyny śpiewają głosem cienkim jak dzwoneczki. Jak pięknie cyganka potrafi ustroić się w tanią suknię, jak cudnie jej ciemne oko lśni w słońcu błyskiem pożądania. Pogardzeni i odrzuceni przewyższają swych sąsiadów mądrością i delikatnością. Są jedynymi którzy muszą wyrzec się swego pochodzenia aby dorównać Kaszubom i Niemcom.

Izbica w której mieszkam od 38 lat jest położona 7 kilometrów na północny wschód od Głównyc. To stara wieś. Pierwsze wzmianki o niej pochodzą z roku 1460, a dokładnie z 1523. Położona jest malowniczo nad jeziorem Łebsko. Piękne jezioro otoczone pierścieniem trzciny wśród których rosną olchy i wierzyby. Po II wojnie światowej osiedlili się tutaj ludzie z całej Polski. Po wielkiej wojnie jedynym majątkiem było ocalone życie i młodość. Przez te 38 lat mego pobytu, najstarsi już odeszli, pionierzy, którzy dbali o każdy skrawek pola, łąki czy lasu. Odszedł do wieczności lubiany sołtys Marian Pilarczyk, Władysław Zakręt - miłośnik koni.

Najbardziej ścisnęło mi się serce, gdy zmarła Emilia Zakręt najpracowitszy człowiek jakiego w swym długim życiu znałam. Został po niej zadbane ogródek z białymi, różowymi i czerwonymi piwoniami, różami i innymi kwiatami. Na szczycie stodoły od dwóch lat siada bocian i patrzy na dom. Może to dusza mej ukochanej sąsiadki Emilii. Nie ma już właścicieli sklepu państwa Małgorzaty i Antoniego Jaskólskich. Zmarła córka Urszula, wesoły syn Piotr, który do kolegów wołał: „do szkoły się weź”. Nie ma już Franciszka Mikulaka, który walczył w armii generała Maczka i jego cudow-

nej żony Anastazji. Niedawno zmarł ich syn Mieczysław, dobry rolnik i uzdolniony samouk mechanik „złota rączka”. Kiedy ostatnio oglądałam zamknięcie księżycy pomyślałam, że byli jego srebrnym światłem, a potem ogarnęła ich czarna zasłona śmiertelnej ciemności, Ile ci ludzie przeżyli z tego w okresie wojny.

Zainteresowałam się publikacją profesora doktora habilitowanego, historyka z UKW autora internetowej kartoteki osobowej esesmanów, członków załogi KL Auschwitz. Patrzę na ich zdjęcie z uroczystości, gdy przedstawiali Hitlerowi i jego kolegom „swoje osiągnięcia”. Patrzę na ich twarze, postacie niby ludzie, a przecież wynaturzone bestie. Było ich w Oświęcimiu 18 tysięcy. Jaka była liczba ich ofiar? Wielu członków rodzin z okolicy, przeszło przez ich krwawe ręce, np. pan Czech, młody człowiek, któremu udało się to bestialstwo przeżyć. Dziś jest taki cudowny, złocisty letni dzień, ale fakty nie dają zapomnieć o przeszłości. Znałam pana Witolda Piskorowskiego, który przeżył jako dziecko masakrę wołyńską w 1943 roku. Mieszkając we wsi Hruszów z rodzicami, zostali ostrzeżeni przez sąsiadów Ukraińców, zdołali schować się w zbożu, potem w lesie i przeżyli. Pamiętam jak jego zmarły syn Janek wspominał rodzinne strony ojca. Przy każdej okazji powtarzał: „...a u nas na Wołyniu.” Mieszkając w pięknym obejściu, koło przystani rybackiej, zawsze wspominał „na Ukrainie pszczoły jak woły, jabłka jak pomarańcze, a przy muzyce świerszczy młody, stary tańczy”.

Przemija życie, odchodzą na cmentarz ludzie z drugiego pokolenia osadników. Coraz mniej pól uprawnych, na łąkach piętrzą się baloty siana. Właściciele dużych arealów otrzymują unijne pieniądze. Tylko smutek ogarnia, gdy wspominałam dawną, tętniącą życiem Izbicę.

**Emilia Zimnicka, Izbica**







# Tajemnica dzwonnicy z Objazdy

Moje poszukiwania mają amatorski charakter, ale dostarczają mi wielu wzruszeń i może staną się zaczątkiem naukowego opracowania o dzwonach Benningów w powiecie słupskim.

W starym opracowaniu ks. dr. Romualda Frydrychowicza „Dzwony kościelne w diecezji chełmińskiej”, (1919-1925) autor napisał: „nie wszystkie dzwony są tu opisane, bo brak nam było o nich bliższych wiadomości. Opisałem jednak dzwony około 260-ciu kościołów.” Niestety, wśród opisanych dzwonów nie ma tego z Objazdy, ponieważ dopiero od roku 1992 nowo utworzona parafia Objazda wcielona została do diecezji pelplińskiej i nowo utworzonej metropolii gdańskiej. Współczesna diecezja pelplińska składa się z 30 dekanatów i 285 parafii. Dawniej wieś nosiła nazwę Wobesde. Z dawnych czasów pozostał na wzgórzu w środku wsi mały kościół z pruskiego muru, mylonego z szachulcem z powodu otynkowania i bielienia. Był to ewangelicki kościół filialny należący do lat 20. XX wieku do parafii w Rowach.

Granice państwowe sytuowały wieś poza diecezją z siedzibą w

Chełmży, później w Pelplinie. W tym miejscu warto zajrzeć do podręcznika historii. W październiku 1648 roku w Osnabrück zawarty został (między Habsburgami a Szwecją) chyba najbardziej znaczący dla Europy traktat międzynarodowy kończący wojnę trzydziestoletnią (1618-1648), nazwany pokojem westfalskim. Jedno z postanowień głosiło, że margrabia - elektor Brandenburgii otrzymuje Pomorze Tylne (Hinterpommern), biskupstwo kamińskie (Kamień Pomorski) oraz arcybiskupstwo magdeburskie, biskupstwo Halberstadt i biskupstwo Minden - jako rekompensatę za utratę Pomorza Przedniego, ponadto zarówno król szwedzki, jak i elektor brandenburski otrzymali prawo posługiwania się insygniami książęcymi władców Pomorza. W taki sposób dawne dziedzictwo Gryfów, w tym Słupsk i okolice na ponad dwieście siedemdziesiąt lat pozostało pod rządami brandenburskiej linii Hohenzollernów.

To dlatego poszukiwania ludwisarza, który odlał dzwon dla kościółka w Objeździe (Wobesde) rozpoczęłam od lektury katalogu wystawy pod redakcją Marcina Majewskiego „Ludwisarstwo stargardzkie i pomorskie XIV-XVII wieku”. Katalog piękny, ale nie znalazłam w nim żadnej wskazówki, poza kilkoma ciekawostkami z początku XVII wieku, kiedy to ludwisarze ze Szczecina, Stargardu i Trzebiatowa, zaniepokojeni przybyciem z Lotaryngii trzech ludwisarzy, braci Breutell i ich szwagra, wysłali do księcia Fryderyka Wilhelma pismo z prośbą o wydanie zakazu zatrudniania obcych. Na nic się zdała ich prośba. Poza tym żaden z nich nie miał imienia zaczynającego się od litery G, więc i ja straciłam nimi zainteresowanie. Dzwon w Objeździe sygnowany jest inicjałami GB.

W „Dziejach Słupska” (Słupsk 1986), pozycji starej, zapewne niemodnej, ale przecież opisującej historyczne perypetie miasta, czytam, że

i po wojnie trzydziestoletniej Gdańsk pozostał głównym partnerem handlowym Słupska. Do Gdańska kupcy słupscy wywozili piwo, konie, zwierzęta rzeźne, surowe skóry, tłuszcze, wełnę, wyroby bursztynowe. Z Gdańska przywożono skóry garbowane, artykuły kolonialne oraz wapno, krede, metale kolorowe i jubilerskie.

W Gdańsku i Malborku znajdowały się jedne z najstarszych giserni, mimo braku kruszców do lania dzwonów. Sprowadzano je od początku XV wieku z Węgier (miedź), Czech lub Anglii (cyna). Miedź, główny składnik dzwonu, od czasów starożytnych znana i stosowana była w Campanii, dlatego dzwony z łaciny nazywano campana.

W Gdańsku od lat 30. XVI wieku czynny był warsztat odlewniczy Benningków, ale nadal zagadką jest pochodzenie protoplasty rodu: był Niderlandczykiem, a może Niemcem? Być może Pomorzanie, nieznanym zwykłym człowiekiem, a jego nazwisko do historii wprowadził syn? Ludwisarnia działała do śmierci ostatniego z pięciu odlewników - Gerharda III Benningka, znanego jako Gert Bening III.

O najstarszych znanych pomorskich ludwisarniach Benningków, Wittwercków i Anthonych między XIV i XVIII wiekiem pisze Elżbieta Wróblewska. I w tej pozycji nie wymienia się Objazdy, mimo że wszystko wskazuje na to, że dzwon w wieżyce mającej formę ośmiobocznej latarni nakrytej cebulastym dachem zwieńczonym sygnaturą z datą 1606 pochodzi z ludwisarni Gerta Beninga III. Tak się go dzisiaj nazywa, trzeciego tego imienia ludwisarza słynnej dynastii Benningków. Został ochrzczony 23 września 1607 roku, zmarł w połowie sierpnia 1670. Mieszkał prawdopodobnie przy ulicy Korzennej w Gdańsku. Większość jego znanych dziś prac pochodzi z lat 1635-1655, później następuje przerwa, kolejne prace pojawiają się dopiero w roku 1668, gdy miał ponad sześćdziesiąt lat. Mało prawdopodobne, by czterdziestoosmioletni doświadczony ludwisarz zaprzestał działalności. Elżbieta Wróblewska, autorka pracy „Ludwisarnie Benningków, Wittwercków i Anthonych” (1999) ową przerwę w działalności wiąże z wojnami szwedzkimi, kiedy najpewniej odlewał lufy do armat. Najpewniej. Prawdopodobna była też inna przyczyna. Zarówno

katolickie, jak i ewangelickie parafie nie miały odpowiednich funduszy, a i atmosfera nie służyła sztuce.

Liczba zachowanych prac wskazuje na kilka udanych lat w działalności giserni. Obecnie rozpoznanych jest około czterdziestu obiektów, ale wiele prac Gerta Beninga III, szczególnie z połowy XVII wieku, jest nieznanymi. Może jest wśród nich dzwon z Objazdy?

Dzwon Gerharda Benningka III (Gerta Beninga III) z 1647 roku z Sypanicy, tzw. „dzwon cmentarny” (dawna kaplica dworska, później kościół z przełomu XVI/XVII wieku) w gminie Prabuty zdobiony jest sentencją z Ewangelii św. Łukasza (Luc. 2,14): GLORIA IN EXCELSIS DEO, datą zapisaną cyframi rzymskimi - sygnowany był tylko inicjałami ludwisarza. W 1655 roku dla kościoła ewangelickiego w Stablewie powstał dzwon z tą sentencją z Ewangelii św. Łukasza (Gloria in Exselsis). W późniejszym okresie ludwisarz stosował misterne fryzy przeplatających się kolistych ogniw i wici skręcających się symetrycznie wokół pionowej osi.

Takie zdobienie występuje dość często w pracowni Benningków, od początku jej istnienia. Tak zdobiona jest szyja dzwonu z 1648 roku ze Starzna.

Ostatnim znanym dziełem ludwisarza jest dzwon w Szwarcenowie. Na szyi dzwonu ludwisarz umieścił swoje inicjały, datę odlania dzwonu i sentencję „SOLI DEO GLORIA”.

Piszę o tym wszystkim z myślą o zebraniu dowodów pośrednich, poszlak, które uzasadniałyby moją tezę, że twórcą dzwonu zawieszono w próchniejącej starej dzwonnicy w kościele Objeździe jest Gerhard Benningk III, zwany Gertem Beningiem III. Na szyi naszego dzwonu zastosowano podobne rozwiązanie: inicjały GB, data odlania dzwonu ANNO MDCLV oraz sentencja: GLORIA IN EXCELSIS. Niżej fryz ujmujący w kolistę ogniwa spletające się roślinne wici.

Też o autorstwie Gerta Beninga dzwonu dla kościoła w Objeździe wspierają, moim zdaniem, dodatkowe okoliczności. Kościół w Objeździe powstał najpewniej w 1606 roku, na co wskazywałaby wieża w formie latarni z sygnaturką z wykutą datą. Jeszcze z początku XX w. latarnia była umieszczana na mapach morskich jako oznakowanie nawigacyjne (by-

ła widziana z morza, nie zasłaniały jej drzewa). Początkowo była to najprawdopodobniej jednonawowa kaplica dworska, bez organów i bez dzwonu. Wskazywałoby na to bezpośrednie sąsiedztwo dworu.

Dzwon pojawił się później. Data umieszczona w inskrypcji na szyi wskazuje na rok odlewu, czyli 1655, czyli niemal pięćdziesiąt lat później, ale w czasie, gdy właścicielem majątku był Antonius Natzmer, fundator ołtarza i ambony. Jeszcze później, na początku wieku XVIII dobudowano nawę boczną z ozdobnymi stalami tuż przy ołtarzu i ambonie, z prospektem organowym, ale wciąż był to kościół filialny w mało znaczącej wiosce. Dopiero w wieku XX zmieniło się znaczenie wsi, ale kościół pozostał wciąż ten sam, niestety bez dawnego ludowo barokowego wyposażenia.

Pozostała jeszcze sprawa świeczników. W Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku od 20 czerwca czynna jest wystawa wyrobów cynowych. Zapewne są tam świeczniki z kościoła z Objazdy, o których pisano przed laty nawet w przewodnikach turystycznych. Uważnie przejrzałam katalog wystawy. Wiele prezentowanych obiektów (świeczniki, kielichy mszalne) najczęściej ma ogólnikowy podpis „Pomorze” i autor NN, mimo że wcześniej we „Wstępnie” komisarz wystawy i autorka opracowania informatora Anna Sujeczka napisała: „Rygorystyczne normy produkcji zakładały każdorazowe znakowanie wyrobów rzemieślniczych. Gwarantowało to najwyższą jakość produktu i wspierało lokalne struktury cechowe (...)”.

Odwiedziłam panią Katarzynę Bartosiewicz w słupskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków. Dzwon z Objazdy czeka na własną kartotekę i profesjonalny opis. Pani Kasia nie negocjowała moich ustaleń. W kartotekach urzędu jest kilka „Beningów”, dzwonów w wielu miejscowościach regionu słupskiego, między innymi w Starznie koło Koczawy. Podobieństwo w kroju czcionki, zdobnictwie potwierdza moją tezę. Jednak niczego nie wiem na pewno, moje poszukiwania mają amatorski charakter, ale dostarczają mi wielu wzruszeń i może staną się zacznym naukowym opracowaniem o dzwonach Benningów w powiecie słupskim.

**Czesława Długoszek, Objazda**



# Białe Bociany w Smołdzinie

20 czerwca w Gościńcu u Bernackich w Smołdzinie odbyła się Gala Białych Bocianów 2018. Nagrodami starosty słupskiego uhonorowano kolejne wyróżniające się osoby twórczością artystyczną, upowszechnianiem i ochroną dóbr kultury w powiecie słupskim.

Gałę poprzedziło złożenie kwiatów przy budynku, przy ulicy Adama Mickiewicza 33 w Gardnie Wielkiej pod tablicą upamiętniającą działalność i twórczość Franciszka Gieresza - nieżyjącego malarza z Gardny Wielkiej i Smołdzina. Właśnie 14 lat temu, w 2004 roku, kiedy jechaliśmy też do Smołdzina wręczyć doroczne nagrody starosty słupskiego w dziedzinie kultury, zatrzymaliśmy się w tym miejscu, by przybić tę tablicę i upamiętnić życie i twórczość Franciszka Gieresza. Tak się złożyło, że Smołdzino znowu wybrane zostało na gospodarza powiatowych uroczystości i nie mogliśmy nie zatrzymać się przed domem malarza i nie przypomnieć tamtego wydarzenia, złożeniem symbolicznej wiązanki kwiatów.

Franciszek Gieresz był Kresowianinem. Przeszedł cały szlak bojowy II Armii Wojska Polskiego. Po wojnie z rodziną pojechał do Stargardu Szczecińskiego, ale żona powiedziała mu że nie będzie tam mieszkać, bo nie po-

dobą się jej to miasto. Dlatego przyjechali do Słupska, a stąd pojechali do Gardny Wielkiej, bo uznali, że z czwórką dzieci będzie się im łatwiej żyło na wsi. W Gardnie Wielkiej był ładny budynek, który sobie upatrzył - wolny, piętrowy. Poszedł do Urzędu Repatriacyjnego, a sekretarz mówi mu, że dom zarezerwowany! Już pogodził się z tą myślą, że go nie zajmie, ale idzie korytarzem, a tu go ktoś za ramię łapie. Odwraca się, a to Paszkiewicz, profesor z Technikum Kolejowego w Brześciu, które on kończył. Był kierownikiem Urzędu. - Jaka tam rezerwacja - miał powiedzieć. - Rezerwujemy dla takich jak ty. Podobają ci się dom, to go bierz!

I wziął. Zaczął pracować jako technik leśny, bo takich potrzebowali. Jeździł i sprawdzał stan wydm, umacniał je. Szybko zauważył, że takich widoków na Białorusi nie było. Zaczął malować morze, jezioro, wydmy, Gardnę. Morze na jego obrazach było takie bardzo, bardzo niebieskie, wy-

dmy bardzo, bardzo żółte. W Gardnie małe domki, a na ich tle brązowe kołowe płyty z żerdzi. Te stare obrazy cenil sobie najbardziej, bo przypominały mu dawne lata. - Miał - mówił - wartość historyczną. Wybitny ze snu w nocy wiedział jak namalować wydmy, morze, jakich użyć kolorów, jak ująć kompozycyjnie. - Barwy muszą widza przyciągać, czynić obraz ładnym - uzasadniał. - Ale nie mogą kłamać, muszą być takie jak w naturze. Ujęcie jest też bardzo ważne. Obraz musi przedstawiać coś więcej niż tylko fragment rzeczywistości. Musi mieć wartość artystyczną, zawierać osobliwy zamysł autora, kompozycję - to co jest niepowtarzalne.

Taki był Franciszek Gieresz, takie miał podejście do malarstwa. Policzył już wtedy, że Ameryce znajduje się osiem jego obrazów, w Anglii, Australii po cztery. W byłym Związku Radzieckim - ze sto. W Niemczech ze dwieście albo i więcej. W kraju chyba ze czterysta.

Brał udział w Ogólnopolskim Triennale Plastyki Nieprofesjonalnej w Szczecinie, Wrocławiu, Krakowie. Cztery jego obrazy zakupiła Akademia Sztuk Pięknych. W Urzędzie Morskim mówili mu, że widzieli jego obrazy na wystawach w Czechosłowacji, Bułgarii.

Mówił, że oglądał wiele wystaw, wiele obrazów, ale na swoje by się jednak nie zamienił. Bo nie takie ładne jak te jego! Przez sześć lat nie zaglądał do Domu Kultury w Słupsku. Dlaczego, bo się obraził. Na wystawę dał sześć obrazów, a powiesili tylko dwa. Cztery poszły do piwnicy, że niby miejsca nie było na wystawie. Ale to nieprawda, był przekonany, że bali się konkurencji... W 1984 roku został jednym z dziesięciu laureatów ogólnopolskiego konkursu amatorskiej twórczości plastycznej „Przyjaźń- Braterstwo-Współpraca”, na który wpłynęło 208 tysięcy (!) prac z malarstwa, grafiki, rysunku, tkaniny artystycznej i rzeźby. Do ostatniego etapu dopuszczono 2100. On znalazł się wśród dziesięciu laureatów. Bardzo sobie to cenił.

Wojewoda słupski trzykrotnie przyznał Franciszkowi Giereszowi nagrodę „Za aktywną działalność w upowszechnianiu kultury”. Był też „Zasłużonym Pracownikiem Morza”, wieloletnim członkiem Klubu Plastyka Amatora przy Wojewódzkim Domu Kultury.

W uroczystości złożenia kwiatów pod tablicą domu Giereszów w Gardnie Wielkiej, w którym mieszka teraz wnuczek malarza, wzięła udział najbliższa rodzina artysty, poeci ze Słupska i powiatu słupskiego, kapela kaszubska „Zgoda”, działacze i twórcy kultury jadący na uroczystość rozdania Białych Bocianów do Smołdzina. Kapela pięknie zagrała malarzowi, dzieci w strojach kaszubskich zaciągnęły warte, poeci przeczytali swoje wiersze dedykowane malarzowi. Na zakończenie przed tablicą delegacja z powiatu złożyła kwiaty, złożył je też obecny na uroczystości Arkadiusz Walach - wójt gminy Smołdzino, który później na Gali zrelacjonował przebieg tej spontanicznej, miłej uroczystości i bardzo szczegółowo jeszcze raz przybliżył sylwetkę malarza.

Uroczystość wręczenia statuetek Białego Bociana w Gościńcu u Bernackich rozpoczął koncert Orkiestry Gminnego Centrum Kultury w Kobylnicy z charyzmatyczną wokalistką Anną Chodyną (laureatką Białego

Bociana 2011) - jak się później okazało, muzycy otrzymali jedną z sześciu nagród pieniężnych. Przyznano ją orkiestrze za popularyzowanie muzyki klasycznej w środowiskach wiejskich. Oficjalnie galę otworzył starosta słupski Zdzisław Kołodziej-ski. Swoje przemówienie, poświęcone ludziom kultury, miał także Arkadiusz Walach, wójt gminy Smołdzino. Na uroczystość przybył również wicestarosta słupski Rafał Konon. Obecni byli artyści z powiatu oraz dyrektorzy ośrodków kultury z regionu. Duża frekwencja przerosła oczekiwania organizatorów i gospodarzy Gościńca.

Kolejne nagrody finansowe trafiły do: Elżbiety Wróbel z Globina - za społeczne zaangażowanie i propagowanie aktywności kulturalnej wśród osób niepełnosprawnych, Sylwii Ziemskiej - za propagowanie tańca oraz działalność artystyczną prowadzoną z młodymi mieszkańcami Kępic. Po wręczeniu pierwszych nagród przed publicznością zaprezentował się duet poezji śpiewanej - Małgorzata Burjan i Patryk Skarbek-Tłuchowski. Młodzi artyści reprezentowali Gminny Ośrodek Kultury w Smołdzinie, rozpoczęli współpracę na Turnieju Poezji Śpiewanej w ramach 62. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. W jego repertuarze znajdują się zarówno piosenki autorskie do słów klasycznych poetów, jak i kompozycje znanych i lubianych twórców.

Po występie przedstawicieli gospodarzy wręczono kolejne nagrody, które otrzymali: Elżbieta Rus z Niestkowa - za pracę z Dziecięcym Zespołem Pieśni i Tańca „Pomorzacy”, Krzysztof Surowiec, instruktor kulturalno-oświatowy w Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie - za sukcesy odniesione z prowadzonymi zespołami „Epitetem po Metaforze” i „Teatr Jednego Momentu z Kurtyny”. Z kolei Jolanta Betkowska ze Słupska - nauczyciel bibliotekarz Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Słupsku nagrodzona została za przypomnienie i popularyzowanie na łamach Powiatu Słupskiego/Wisi Tworzącej pisarzy chłopskich i pisarzy piszących o wsi polskiej.

Teraz przyszedł czas na Białe Bociany 2018 i towarzyszące im nagrody pieniężne. Pierwszą Zdzisław Kołodziej-ski i Rafał Konon wręczyli Teresie Czyżewskiej za całokształt pracy na rzecz kultury tanecznej i kultywowanie tradycji tańców ludowych. Po

odebraniu tej nagrody, laureatka zaprosiła przed publiczność Zespół Taneczny „Płąs” ze Słupska, który m.in. prowadzi. Tancerki „Płasa” w przepięknych strojach ludowych zaprezentowały poloneza i oberka. W skład zespołu wchodziły były uczestniczki zajęć tanecznych w Młodzieżowym Domu Kultury w Słupsku. W maju tego roku zespół ten z powodzeniem uczestniczył w World Cup of Folklore - Jesolo 2018 we Włoszech, gdzie otrzymał wyróżnienie i rekomendację do udziału w międzynarodowych festiwalach folklorystycznych, ważną trzy lata.

Kolejny Biały Bocian trafił w ręce malarki Elżbiety Bernackiej-Hanus z Gościńca u Bernackich - za powołanie do życia Galerii Kolorów Liz B-H, działalność artystyczną i intelektualne ożywienie smołdzińskiego środowiska. Podczas gali oglądać można było prace artystki zebrane na wystawie zatytułowanej „Dlaczego nie Niebo?” Wręczeniu tej statuetki towarzyszyła Kapela Kaszubska „Zgoda” ze Słupska, która zaprezentowała wiązanek utworów kaszubskich i piosenkę o Smołdzinie. Zespół ten istnieje już dwadzieścia lat, pięć występował pod nazwą „Rowokół”. Daje liczne koncerty zarówno w kraju, jak i za granicą. To także laureat Białego Bociana - jednej z wcześniejszych jego edycji. Na przestrzeni dwudziestoletniej działalności zmieniał się skład kapeli, ale nie zmienił się charakter granej muzyki.

Po tym występie przyszedł czas na wręczenie ostatniej statuetki, a odebrała ją Marta Fitowska z zespołu MOA - za osiągnięcia artystyczne w roku 2017, w tym za zdobycie Głównej Nagrody im. Anny Jantar w Konkursie Debiutów na 54. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu za piosenkę „Ile udźwignie niebo”. Właśnie ten utwór oraz piosenkę zatytułowaną „Please swallow” mogli wysłuchać przybyli na galę. Ostatnim akcentem uroczystości było wspólne zdjęcie laureatów oraz - zgodnie



z tradycją - toast wzniesiony przez starostę słupskiego Zdzisława Kołodziejkiego za ludzi kultury w powiecie słupskim.

- Serdecznie gratuluję wszystkim nagrodzonym dzisiaj, ale też dziękuję tym, którzy działają i tworzą dla nas to piękno w różnej postaci. W postaci tańca, piosenek i bardzo ważnych treści. Życzę państwu jeszcze wielu twórczych działań i dużo zdrowia oraz wszelkiej pomyślności. Wszystkiego dobrego! - podsumował starosta Z. Kołodziejki.

Galę poprowadził Piotr Koźłowski, były dziennikarz radiowy, a o nagłośnień wszystkich występów zadbał Mariusz Brokos z Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. Wybór miejsca okazał się bardzo trafny nie tylko ze względu na istniejącą w nim Galerię Kolorów Elżbiety Bernackiej-Hanus, ale także dlatego, że Bernaccy stworzyli w Smołdzinie prawdziwą świątynię kultury, którą już tylko z tego jednego powodu warto zawsze odwiedzić, zobaczyć co się w niej zmieniło i cieszyć się nowym.

Organizatorzy gali serdecznie dziękują Gminie Smołdzino za przyłączenie się i wsparcie rozdania tegorocznych nagród starosty słupskiego za pracę w kulturze.

**Mariusz Smoliński**  
**Z. Babiarsz-Zych, Słupsk**

# Białe Bociany i... dyskomfort

Ks. Jerzy Wyrzykowski z Duninowa, z innej niż moja od kilkunastu lat diecezji, ale z tego samego powiatu (jakie to skomplikowane!), na zakończenie Gali Białego Bociana organizowanej corocznie przez Starostwo Powiatowe w Słupsku przypomniał zdanie papieża Jana Pawła II o okropnych skutkach zazdrości.

Nagrody były rozdane, więc ksiądz, znawca ludzkich dusz, chyba wiedział coś, o czym trzeba było powiedzieć, mimo że pobyt w pięknie, z klimatem, urządzonym „Gościńcu u Bernackich” w Smołdzinie był nagrodą samą w sobie, okraszona muzyką, śpiewem, tańcem. Obok w holu można było pocieszyć się małym co nieco.

Byłam ciekawa miejscowości, w której przez jakiś czas pracowałam „na zastępstwie”. Gala była również okazją do spotkania się z dawno niewidzianymi znajomymi. Nie spodziewałam się niczego więcej, Białego Bociana mam od jakiegoś czasu w domu.

A z nagrodami sprawa jest taka: przyznaje je starosta słupski na wniosek. I właśnie w tym problem. Wniosek można złożyć samemu, pobiera-

jąc formularz ze strony internetowej powiatu. Nie wiem, czy są takie przypadki, by ktoś poprosił o nagrodę dla siebie. Z reguły wnioski składa jedna osoba lub urząd czy organizacja, podając zasługi nominata dla powiatowej kultury. Nagrodzeni na pewno zapracowali na splendor ponadobowiązkowymi działaniami, nie wątpię. Od dawna jednak odczuwam pewien dyskomfort, kiedy do nagród typowani są etatowi pracownicy ośrodków kultury. Wykonywać powierzone obowiązki to sprawa najnormalniejsza w świecie, za to dostaje się pensję, a w wypadkach określonych regulaminem - premię. Nagroda z definicji jest bonusem za coś, czego się nie musi, co wykonuje się z pasji czy innej motywacji poza służbowymi obowiązkami, i co służy innym.

Z nagrodami w ostatnim czasie w ogóle u nas problem ogólnopństwowy. Gdzie kończy się obowiązek, a zaczyna praca ponad? Jak to zmierzyć? I co to ma wspólnego z Nagrodą Starosty? W zasadzie jedna nominacja osobicie niemal mnie dotknęła, stąd te wszystkie wątpliwości. Nagrody powinny być dla tych, którzy porzucają na moment swoje obowiązki zawodowe: nauczyciela, rolnika, lekarza itp., i rodzinne, towarzyskie, by oddać się działaniu dla kultury lub robią coś, co rzeczywiście angażuje całe społeczeństwo. Tak funkcjonują zespoły kół gospodyń wiejskich, np. „Babiniec” z Rowów, który reprezentował z powodzeniem powiat słupski na wojewódzkim turnieju, zdobywając w jednej z konkurencji I miejsce. Tak powstają rzeźby pana Krzysztofa Grzejszczaka, Czesława Kowalczyka i uczestników letnich plenerów rzeźbiarskich w Rowach.

Nie zdziwiłaby mnie nagroda na przykład dla dziecięcego zespołu „Po-



morzacy”, którego stroje nawiązują do ludowej tradycji regionu. Na pewno motywowałyby dzieci i rodziców, którzy są niewidoczną częścią zespołu. Zastanawiam się również nad skutkami braku kategorii, mam wrażenie chaosu i przypadkowości. W ogóle moja lista nominowanych byłaby dłuższa i obejmowałaby przede wszystkim tych, co nie muszą, a działania artystyczne podejmują z pasji. Piszą, wydają tomiki wierszy, dokładając nierzadko własny grosz, rzeźbią, malują, organizują warsztaty koronkarskie i hafciarskie, spotkania naukowe, fotograficzne, organizują „noce w bibliotece” itp. Jednym słowem, przywracają kulturze autentyczność lub regionalną, ludową proveniencję, wprowadzając ją we współczesność. Jestem przekonana, że wśród tegorocznych laureatów są tacy i serdecznie im gratuluję.

W tym roku zwyciężył taniec ludowy piękny strojem, muzyka i piosenka, najczęściej cover. Trochę malarstwa, teatru i recenzji znanych pisarzy podejmujących tematykę wiejską. Niewielu nagrodzonych, lista powinna być dłuższa, bo nagrody skromne. Nie ma czego zazdrościć, proszę księdza. Naprawdę piękna była sala „Gościńca u Bernackich” w Smolżynie, na końcu świata powiatowego. Taka na nagrodę.

Dodam dla jasności, że ks. Jerzy Wyrzykowski jest laureatem nagrody Białego Bociana, a jego działalność wykracza daleko poza to, czego oczekuje się od wiejskiego kapłana. Pan Zbigniew Babiarz Zych zasugerował, że mógłby się już odbyć zlot Białych Bocianów, wyfrunęło ich ze starostwa ponad czterdzieści. Moja propozycja idzie dalej, laureaci Białych Bocianów powinni stanowić kapitułę nagrody.

**Czesława Długoszek, Objazda**

*Od redaktora: Dziękuję pani Czesławie Długoszek za jej spostrzeżenia i podzielenie się nimi z naszymi Czytelnikami. Czekamy na kolejne opinie, które chętnie zamieścimy na łamach naszego powiatowego pisma. Do następnego, przyszłorocznego rozdania nagród pozostało sporo czasu, zatem może warto zastanowić nad nowym regulaminem ich przyznawania i coś zmienić. (ZBZ)*

# Laureaci nagród



Fot. SAS

## BIAŁE BOCIANY 2018

**Teresa Czyżewska, Damnica.**

Wyrosla na tradycjach wiejskich. Już w szkole podstawowej przygotowywała występy, wykorzystując znane skecze i piosenki z popularnych kabaretów. Po ukończeniu Liceum Ekonomicznego występowała z kabaretem, który dwa razy został zauważony przez Telewizję Polską. Po tych doświadczeniach zaczęła się jej zawodowa przygoda z kulturą. Od pracy instruktora i prowadzenia tanecznego zespołu „Freska” w WDK w Poblöciu. Po jedenastu latach pracy w Wiejskim Domu Kultury związała się z Młodzieżowym Domem Kultury w Słupsku na dwadzieścia lat, odnosząc pasmo sukcesów z zespołami „Zig-Zag”, „Driada” i „Płś”. Z tym ostatnim nadal pracuje nad wznowieniem programu „Folklorem malowane”, by móc przypomnieć piękno polskich tańców narodowych i strojów ludowych. Na festiwalu w Koninie za kostiumy i występ pochwaliła ją sama choreografka Teatru Wielkiego w Warszawie. Od czterech lat znowu pracuje na wsi i w Damnicy prowadzi zespoły: „Kick”, „Dadaki” oraz „Step”.

**Elżbieta Bernacka-Hanus, Smolżino.** To niezwykle interesująca artystka. Cechuje ją ciekawość świata i intelektualne ożywienie środowiska. Od najmłodszych lat poświęcała się sztuce. Początkowo były to zwykłe ry-

sunki. Z biegiem czasu zainteresowała się malarstwem na szkle, a kiedy i to przestało jej wystarczać, zaczęła malować na płótnie. W przełomowym dla siebie momencie zainteresowała się przede wszystkim martwą naturą, pejzażem i portretem. W ubiegłym roku odebrała z rąk Marszałka Województwa Pomorskiego honorowy tytuł Mecenas Kultury za powołanie do życia Galerii Kolorów Liz B-H oraz Pracowni Rysunku i Malarstwa.

**Marta Fitowska, Potęgowo.**

Wokalistka, laureatka m.in. nagrody głównej i publiczności konkursu „Serca Bicie” pamięci Andrzeja Zauchy. Kompozytorka, autorka tekstów. W udzielonym wywiadzie Polskiemu Radiu powiedziała: - Wzięłam się z północy, prawie znad morza, z małej miejscowości Potęgowo. Bardzo lubię tam wracać - tam jest najpiękniejsze niebo na świecie. Tam rozpoczęłam pierwsze kroki wokalne, chyba jeszcze w zerówce. Potem była w Lęborku szkoła muzyczna pierwszego stopnia na fortepianie, szkoła muzyczna drugiego stopnia na śpiewie operowym; nie skończyłam jej i już pojawiłam się w Bydgoszczy na Akademii Muzycznej w klasie śpiewu jazzowego Joanny Zagdańskiej. Dziś stypendystka Akademii Muzycznej w Bydgoszczy, Starosty Słupskiego, Marszałka Województwa Pomorskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Od 2015

# Biłego Bociana 2018



roku występuje z zespołem MOA. Na 54. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, w Konkursie Debiutów zdobyła opolską Karolinę, czyli Nagrodę Główną im. Anny Jantar za autorski utwór „Ile udźwignie niebo”. We wspomnianym już wywiadzie Polskiemu Radiu powiedziała: - Nie o to chodzi, żeby śpiewać jak inni. Każdy powinien odnaleźć swoją własną drogę. Jeśli nauczyciel daje pewną swobodę i warsztat, a potem otwiera drzwi i mówi: idź, to jest to super. Uważam, że piosenki nie należy jedynie odśpiewywać, żeby ktoś usłyszał melodię czy rytm. Chodzi o to, by to była jakaś prawda, historia, którą ja chcę dziś ludziom opowiedzieć...”

## NAGRODY PIENIĘŻNE

**Jolanta Betkowska, Słupsk.** Z wykształcenia jest bibliotekarką, ale też pedagogiem, polonistką, ukończyła studia podyplomowe z zarządzania oświatą, obecnie kontynuuje studia doktoranckie z literaturoznawstwa. Interesuje się literaturą, muzyką, teatrem, ogrodem i podróżami. Od kilku lat współpracuje ze słupskim starostwem i Powiatem Słupskim, a w nim z stałym dodatkiem literackim *Wieść Tworząca*, w której przypomina sylwetki i dorobek twórczy pisarzy chłopskich oraz pisarzy piszących o wsi. Na łamach tego dodatku realizowała cy-

kle: „Pisarze kultury chłopskiej”, „Z naszej ziemi, o naszej ziemi”, „Czerpanie z dorobku”, „Wielcy pisarze”. Obecnie kontynuuje cykl „Piszą o wsi”. To także autorka wielu artykułów w pracach zbiorowych recenzowanych i nierecenzowanych, aktywna uczestniczka konferencji naukowych, współtwórczyni i koordynatorka Pomorskiego Konkursu Literackiego dla Nauczycieli.

**Orkiestra Gminnego Centrum Kultury i Promocji, Kobylnica.** Powstała w 2012 roku, zyskała już sporą popularność oraz rozgłos i cieszy się też dużym uznaniem w środowisku muzycznym, które docenia nie tylko umiejętności muzyków, ale także ich wkład w propagowanie muzyki klasycznej i rozrywkowej, w zaskakujących aranżacjach. Prezentuje się na scenach wielu ośrodków kultury i przyczynia do kształtowania wrażliwości estetycznej mieszkańców wsi. Współpracuje z uzdolnionymi muzycznie dziećmi i z młodzieżą. Jest jedyną i niepowtarzalną orkiestrą na słupskiej i pomorskiej wsi.

**Elżbieta Rus, Niestkowo.** Ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Koszalinie, Państwowe Studium Kulturalno-Oświatowe i Bibliotekarskie w Krośnie oraz Wydział Edukacyjno-Filozoficzny Akademii Pomorskiej w Słupsku. Praktykę zawodową zdobywała w Teatrze Wielkim w Warszawie. Prace dyplomowe poświęciła wychowawczym aspektom tańca, który stał się jej prawdziwą pasją. Pracowała w Domu Kultury w Uście, prowadziła tam zajęcia, przygotowywała programy imprez. Teraz prowadzi Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca, który zaskakuje poziomem artystycznym, zdobywa nagrody na imprezach krajowych i zagranicznych. Jak zespół „Mazowsze” przekonuje, że kultura polska jest bogata w tańce i pieśni. Pozwala zachwycać barwą strojów ludowych, dostarczać wielu wzruszeń i radości.

**Sylwia Ziemska, Kępcice.** Miała zostać leśnikiem, ale jej droga zawodowa i życiowa poszła w innym kierunku. Realizuje się jako pedagog, bibliotekarz, instruktor tańca, animator i organizator imprez kulturalnych. Uwielbiana przez dzieci, młodzież i pomocna też wiejskim gospodyniom,

które przygotowuje do turniejów kół gospodyń wiejskich. W ub. roku grupa cheerleaderek, którą m.in. prowadzi zdobyła III miejsce w Ogólnopolskim Turnieju Tańca „Kaszubski Stolem” w Kartuzach i I miejsce w XXV Powiatowych Prezentacjach Artystycznych w Łupawie. Prowadzi zajęcia taneczne aż w czterech grupach wiekowych. Ucząc tańca łączy i integruje pokolenia.

**Elżbieta Wróbel, Głobino.** Niezwykle zaangażowała się w rozwijanie i propagowanie aktywności artystycznej osób niepełnosprawnych. W ramach wolontariatu prowadzi zajęcia plastyczne i rękodzielnicze. Organizuje wyjazdy do Teatru Nowego w Słupsku, Oceanarium w Gdyni, Parku Dinozaurów w Łebie. Jest autorką zrealizowanego projektu „I nastał czas zbiorów” realizowanego w ramach krajowego programu „Domy Kultury + Inicjatywy, dofinansowanego ze środków Narodowego Centrum Kultury. W ubiegłym roku zajęła II miejsce w Konkursie „Barwy Wolontariatu” wyłaniającego najaktywniejszych wolontariuszy w regionie słupskim. Jej pasja, siła i odwaga w walce o godność osób wykluczonych społecznie, może być przykładem do naśladowania przez innych.

**Krzysztof Surowiec, Lubuczewo.** Wcześniej prowadził autorską grupę teatralną Teatr Konfrontacji Bezpośredniej „Czerwona Kurtyna” i odnosił z nią sukcesy. Teraz w nowym miejscu pracy - w DPS w Lubuczewie stworzył i prowadzi dwie grupy teatralne - „Teatr Jednego Momentu zza Kurtyny” oraz „Epitetem po metaforze” i również odnosi z nimi sukcesy. Ten ostatni teatr w ubiegłym roku otrzymał m.in. wyróżnienie za autorski spektakl na XV Międzynarodowym Przeglądzie Teatrów Wspaniałych w Tczewie, zdobył też I miejsce podczas X Powiatowego Przeglądu Kabaretowego „Obciach” w Kobylnicy i nagrodę za autorską bajkę na V Przeglądzie Twórczości Osób Niepełnosprawnych w Słupsku. Zajmuje się nie tylko teatrem, prowadzi także zajęcia plastyczne i literackie. Wymyśla imprezy, opracowuje scenariusze i koncepcje dużych wydarzeń kulturalnych. Pisze opowiadania. Udowadnia, że interesuje go kultura wyższego rzędu.

# Wszystko lub aż nic

Chciałbym czytelnikom odkryć duszę artystki, jej osobowość, która nie tylko wyzwala energię, motywację do malowania, ale aktywizuje do działalności na rzecz lokalnej społeczności.



Fot. SAS

**E**lżbieta Bernacka-Hanus jest wrażliwą osobą na piękno i ubóstwo, jest otwarta na potrzeby drugiego człowieka, na poprawę jego sytuacji. Na zaproponowaną rozmowę tak zareagowała: - Tak mnie pan dzisiaj rano zmobilizował, że odkrywam teraz siebie. Bardzo cenię swoją prywatność. Dzięki takiemu faktycznemu odosobnieniu czuję się w tym dziwnym świecie bardzo bezpiecznie.

Od młodych lat życia związana jest ze Smóldzinem, tutaj ukończyła szkołę podstawową, potem było I Liceum w Słupsku i klasa o profilu biologiczno-chemicznym. Studia wyższe odbyła na Politechnice Łódzkiej, na wybranym już w szkole średniej kierunku, czyli Wy-

dziale Chemicznym, specjalizacja: technologia produkcji leków. Jest więc z zawodu chemikiem, o ciekawej i wąskiej specjalizacji. Jak sięga pamięcią, to życie toczyło się gdzieś zawsze obok niej, często jednak powracało i bardzo silnie oddziaływało na osobiste przeżycia i z tym związane decyzje.

Można uogólnić i powiedzieć, że ta typowa zmienność kończyła się pragnieniem wyzwolenia emocji za pomocą twórczego działania. Teraz sama malarka nazywa to „bazgraniem”. Od razu nasuwa się pytanie, kiedy to bazgranie stało się czymś innym niż tylko bazgraniem, ważnym, determinującym życie przyszłej malarki? Ale już po chwili moja interlokutorka

oponuje: - Oj, nie tak to było! - A jak? I brak konkretnej odpowiedzi. Opowiada sporo o życiu, w którym coś się dzieje, są ciekawe sytuacje, które jednak skłaniają ją osobiście do „ucieczki” w prywatność. Jest to metafizyczny sposób odbierania świata zewnętrznego, zamykania się od niego tak, by nikt nigdy nie miał dostępu. Ten świat ma być tylko związany z artystką, stanowić dla niej wyłączność. Mówi w egzaltacji: - To jest świat moich wyłącznych przeżyć, on jest tylko mój i tak już będzie. To jest przestrzeń moich duchowych doznań, upewnia mnie, że jest to prawda, której jestem w życiu pewna.

Po tym wywodzie psychologicznym przechodzimy do ad rem.



Malowanie dla niej stało się receptą na życie, cudownym lekiem na jej choroby, odskocznią od szarżyzny dnia codziennego, wreszcie czymś, co uważa za swoją najprawdziwszą prawdę. Dotąd odgrywała tylko role, różne w zależności od etapu życia - najpierw córki, potem żony i wreszcie dojrzałej matki. Na swoim e-mailu ma zapis: „cesarzowa 1”. Czy są to władcze zapędy? Zaraz stwierdza, że są to jednak fałszywe oceny, wobec których staje „obok”. Środowisko, w którym się wychowała, z którym również się utożsamia ma trudne relacje, jest to jednak jej najbliższe otoczenie, które wywarło istotny wpływ na kształtowanie jej dojrzałej osobowości.

- Myślę teraz, tak z perspektywy czasu, że najlepszym byłoby dla mnie całkowite zamknięcie się w pracowni, odcięcie od świata rzeczywistego, którego do tej pory nie rozumiem, z którym się nie godzę, pomimo usilnych wielu prób. Byłam dotychczas zamknięta w szczelnym pudełku, bez możliwości zagłębienia ponad jego górną krawędź. Był to czas, w którym w pewnym momencie, w sposób zupełnie naturalny zatrzymałam się w uprawianiu malowania, rysowania, tworzenia. Jak zwał tak zwał, ale chodziło o uzewnętrznienie. Praktykowałam malarstwo na szkle, zdobienie butelek, słoików czy szklanek, podejmowałam próby z akwarelą i malowania na płótnie. Potrzebowałam jednak jakiegoś wsparcia, bo zaczęłam uzależniać się psychicznie od tworzenia. Jak narkoman na głodzie potrzebowałam pójść do pracowni i w niej być. W pracowni byłam z ulubioną muzyką, były płótna, farby, szmaty, szklanka z piwem, którego nigdy do końca nie wypijałam, bo zawsze się chamsko rozgazowało.

Kto ją uczył malowania, kto był pierwszym nauczycielem? Odpowiedź brzmi: Andrzej Szczepłocki, artysta-plastyk ze Słupska, stanowił przełom w malarskich poczynaniach Elżbiety. Jak mówi - jest to człowiek wielce emocjonalny, który podjął się próby edukacji. Oceny postępu w nauce były pozytywne, szybko można było się zorientować, że przyszła artystka malować może i potrafi. Dla nauczyciela trudność stanowiła jednak droga do otwarcia się osoby, która ciągle twierdziła, że życiowo podobno nie radzi sobie z niczym. Jak wtedy realizować zadania, przekazywać wiedzę tak, by okazała się skuteczna, jak

wskazać drogę do sukcesu, sprawić, by słuchała?

Po latach tak wspomina naukę u artysty plastyka: - Nauczył mnie cierpliwości. Zapamiętałam, głoszone przez mojego nauczyciela zasady: jeżeli dziś coś robisz, to rób jak najlepiej, jak tylko potrafisz, albo wcale nie rób. Następne przesłanie dotyczyło talentu: mamy go w sobie kilka procent, to co pozostaje - to tylko ciężka praca. Był to dla mnie dobry czas. Uczyłam się u artysty o dużym dorobku. Uważam, że wtedy mój czas cofnął się do okresu dzieciństwa. Zaczynałam wszystko od początku, na nowo uczyłam się warsztatu, był to miłowy skok w poznaniu tajemnic malowania obrazów. Ten moment przełomu zaważył na moim dalszym życiu artystycznym i profesjonalnym malowaniu.

Artystka dużo zawdzięcza też swojemu mężowi - Krzysiu, który przygotował jej pracownię, zaaranżował wnętrze, wyposażył w podstawowy sprzęt. Pamięta, jak składał jej pierwszą sztalugę, jak wnosił płótna i zamawiał farby w sklepie internetowym. - Mąż Krzysiu był i jest pierwszym odbiorcą i recenzentem mojej twórczości - mówi Elżbieta Bernacka-Hanus - a ja cały czas poszukuję własnej drogi, choć malowanie zajęło mi już blisko piętnaście lat mego życia. Jestem przeciwna malowaniu pejzażyków - to takie „słodkie malowanie” nigdy mnie nie pociągało. W obrazie musi „coś boleć”, może to być jeden element, niekoniecznie główny temat obrazu albo właściwy dobór koloru -

najczęściej też tylko jeden. Taki obraz musi sprawić, by widz przy nim przystanął i poczuł niepokój artystycznego przesłania.

Dalej artystka o swoim malowaniu tak mówi: - Malowanie stało się dla mnie bardzo szybko takim naturalnym buntem, sposobem na wyrażanie sprzeciwu. Tak - sprzeciwu dla bólu, kłamstwa, którego nienawidzę, a którym pewnie, jak większość, byłam karmiona na każdej płaszczyźnie życia. Jest sposobem na wyrażenie sprzeciwu wobec niesprawiedliwości, ubóstwa, ludzi, którzy z uśmiechem na twarzy plują nam w twarz. Wreszcie sprzeciwu w stosunku do stereotypowych, zapobiegawczych zachowań



Fot. Archiwum Autora

# Artystki ziemi słupskiej

ludzkich, wobec grzechu i pychy.

Czy zatem twórczość malarki to swoisty bunt? Ma swoją wizję i ambicję bycia w awangardzie zbudowanych artystów? A może to tylko zmyślane, nieprawdziwe? Czy w jej dorobku malarskim można dojrzeć coś z moderny, z abstrakcji, jaki styl reprezentuje? Czy może kogoś naśladuje? Na pewno jest kolorystką, która świetnie posługuje się barwami, aby oddać piękno materii otoczenia. Sama tak mówi: - Moje obrazy to bunt. Powstają początkowo jako zapamiętana migawka samego doskonałego obiektu - tematu, który w procesie czasu i przestrzeni jest przetwarzany. Po prostu oswajam się z tym obiektem czy pomysłem i czeka on czasem długie miesiące, w określonej kolejności. Musi nadejść ten właściwy czas, w którym tylko ten jeden raz mogę namalować to coś. Coś - przez duże „C”.

Artystka nie kończy szybko obrazów, czasem maluje miesiącami. Twierdzi, że nie ma potrzeby pośpiechu, bo nie realizuje żadnych zamówień. Wyznacza sobie poszczególne kroki, w materialnym ich powstawaniu oraz rozmieszcza je w czasie. Stwierdza: - Żadnego obrazu jeszcze nie dokończyłam, nie potrafię. Może trywialnie to zabrzmieć, ale po prostu tak zwyczajnie je zostawiam i pozwalam, by odpoczęły. I zdarza się, że czasem znikają, bo sama je wysyłam w podróż w konkretnym celu...

Wystawom nadaje tytuły: „Przebudzenie - wszystko lub aż nic”, „Bezczas”, „Dlaczego Niebo?”. A jak rodzą się tematy obrazów? Krótki pobyt w USA wywarł spory wpływ na psychikę artystki. Co zapamiętała, kiedy często odwiedzała najbiedniejsze dzielnice wielkich miast? Zapamiętała, że... „obiekty pachniały, ludzie pachnieli. Pachnieli prawdą, nie było niczego udawanego. W Ameryce nie ma czasu na udawanie. Trzeba zaakceptować zapach uryny, rozkładającej się żywności, zapach używek, zdrady, stręczycielstwa, zapach porzucenia, opuszczenia, szybkiego nienaturalnego dorastania, w końcu też zapach gówna. - Lubiłam przebywać w tych miejscach, czułam się tam bezpieczna i zawsze byłam ciekawa następnego wydarzenia - wspomina. - Podróżowałam jeszcze przez kilka lat do różnych miejsc i nasy-

ciłam się różnymi widokami. Zapisywały się w mojej świadomości, jako obrazy stanowiące nienapełniony jeszcze dzban, z którego czerpię teraz inspiracje.

Obrazy artystki można kupić w Galerii Kolorów Liz-B-H, którą stworzyła w Smołdzinie. Jak zdradza: większość jej obrazów trafia jednak do ludzi młodych, przed czterdziestką. Maluje obrazy na szkle stosując różne techniki. Ale ciekawsze są te na płótnie, olejne, gwasze, nakładane czasem szpachelką. Kolorystyka ma w jej malarstwie szczególne znaczenie, stanowi dominację i jest monochromatyczny. Te obrazy można nazwać „zjawiskowymi”.

A jak było z warsztatami malarskimi dla mieszkańców gminy Smołdzino? - Kiedy zostałam w marcu 2016 roku dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury w Smołdzinie i zaproponowałam pani Elżbiecie Bernackiej-Hanus prowadzenie warsztatów malarskich dla mieszkańców gminy, zgodziła się od razu i to bezpłatnie. Wspólnie z Elą zaczęłyśmy budować pracownię od podstaw - mówi Wiesława Jasińska. - Nie mając nic: sztalug, płócien, farb, pędzli. Kiedy już wszystko skompletowałyśmy, to powołałyśmy w październiku Smołdzińską Pracownię Rysunku i Malarstwa,

działającą przy GOK. Celem prowadzonych warsztatów jest przede wszystkim integracja wielopłaszczyznowa uzdolnionych plastycznie mieszkańców gminy, pokazanie im możliwości wyrażania emocji poprzez pracę twórczą. Malarze amatorzy to: dzieci w wieku 7-8 lat, młodzież gimnazjalna, licealiści oraz grupa osób dorosłych. Warsztaty kończą się zawsze uroczystym wernisażem, który jest podsumowaniem pracy. Pierwszy wernisaż pt. „Eksperyment - Wszystko p(a) suje” odbył się 11 maja ub. roku. Drugi pt. „Zapach koloru” - 9 maja tego roku. Odrębną formą działalności naszej smoldzińskiej artystki jest od kilku lat organizowany koncert charytatywny, mający na celu zbiórkę paczek dla najuboższych dzieci z gminy Smołdzino. Dzięki tej akcji udało się również zebrać pieniądze na zakup profesjonalnych sztalug malarskich do naszej pracowni. Pani Ela chętnie wspiera swoimi pracami organizowane w naszej gminie akcje charytatywne: Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, Kawalek Serca. Jej pomysłem jest też akcja Bombka Smołdzińska w Każdym Domu. Są to unikatowe, ręcznie malowane, delikatne bombki, stanowiące niepowtarzalną ozdobę w domach.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**



Fot. Archiwum Aurora

# Ciekawość morza

W latach sześćdziesiątych bardzo znany był pewien robot – Alwin, który służył do badania dna oceanów i odkrywania skarbów w nim leżących. Statek mógł opuścić się na głębokość 4,5 tysiąca metrów. Sławą okrył się w 1966 roku, kiedy odnalazł zagubioną bombę atomową i wydobyl ją bezpiecznie na powierzchnię. O pasji penetrowania morskich i oceanicznych głębin rozmawiam z Rudim Stankiewiczem – instruktorem nurkowania i podwodnej fotografii.

**- Dlaczego podwodne głębiny są ciekawe dla podwodnego fotografa? Wydaje się, że tam nie ma nic tajemniczego. Jest zimno i ciemno – woda pochłania dużo światła.**

- Nieprawda, pod wodą nie jest ciemno, dopiero na dużych głębokościach zaczynają się ciemności, ale tam – w morzach i oceanach najwięcej ciekawych okazów fauny i flory występuje na płytkich głębokościach, niżej zostają niezwykle fotogeniczne wraki, które skrywają niesamowite historie. W nich również toczy się życie i trzeba być bardzo uważnym i przezornym.

**- Co się dzieje z kolorami? Podobno przy pewnej głębokości woda pochłania barwę ciepłe. Jak więc uchwycić w kadrze podwodne obiekty?**

- To prawda, że już na głębokości pięciu metrów znika kolor czerwony. Oceany, morza tropikalne pod wodą widzimy jako szaroniebieskie krainy, dlatego dla każdego podwodnego fotografa niezbędne jest dobre oświetlenie – porządna lampa błyskowa i dobra latarka. Wszystkie zdjęcia które oglądamy w książkach, albumach, katalogach czy przewodnikach, ukazujące niezwykle barwy podwodnego życia, wykonane są właśnie z użyciem sztucznego światła. Fotograf podwodny, jeśli chce zrobić zdjęcie zapierające dech w piersiach, musi taki sprzęt posiadać.

**- Czy to prawda, że im bliżej dna, tym ciekawsze obiekty kryje akwen?**

- Im bliżej powierzchni, tym więcej światła, więcej życia, wobec tego więcej ciekawych rzeczy do obejrzenia. Nie znaczy to oczywiście, że przy dnie nie ma nic tajemniczego do odkrycia. W morzach tropikalnych właśnie na głębokościach znajduje się niezliczona gama płaszczek i ryb. Jednak największym skarbem dla fotografa podwodnego są leżące na dnie mórz wraki podwodne. To niesłycha-

nie fotogeniczne miejsca, a na dodatek przyciągające mnóstwo stworzeń podwodnych.

**- Czy w szlamie, piasku, błocie i drobnych cząsteczkach skał można dostrzec też coś interesującego?**

- Ależ oczywiście! W tym przypadku, żeby pokazać, co skrywa samo dno akwenów wodnych, należy „przejsć” na fotografię makro. Wystarczy w morzu tropikalnym wziąć w ręce garść piasku, aby przekonać się, iż po chwili wszystko zaczyna się ruszać. To niesamowite wrażenie. Bierzymy w dłoń muł, a po chwili obserwujemy organizmy wielkości jednego milimetra. Gdy zrobimy „takim obiektem” zdjęcia makro, zobaczymy kilkucentymetrowe zwierzątka i zachwyt jest zdecydowanie większy, niż gdyby oglądało się kolorowe rybki, których wszędzie są tysiące.

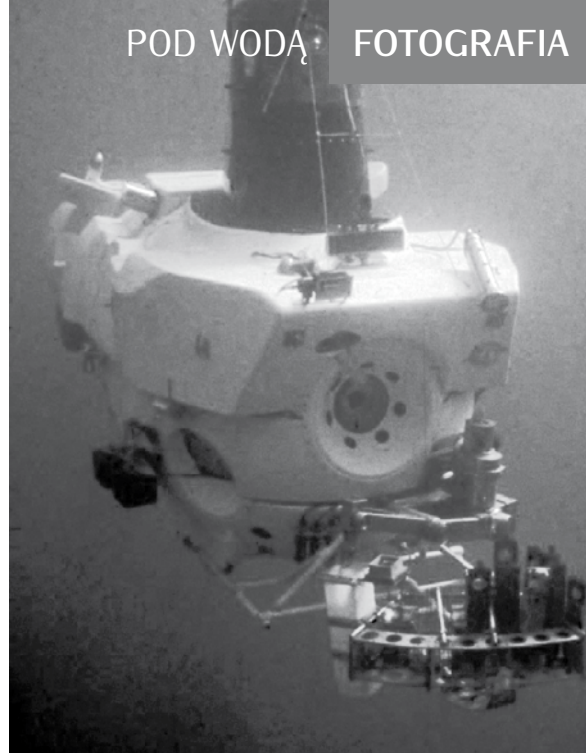
**- Co jest bardziej frapujące – naturalne wodne środowisko, czy ślady po ludziach – wraki, samoloty, łodzie?**

- Wszystko zależy od fotografa i tego, czego poszukuje pod wodą. Wraki skrywają mnóstwo tajemnic i czasami nie udaje się ich w ogóle odkryć. Zaczynałem od fotografii makro, obserwując malutkie ślimaki, krabiki, końcówki koralowców, a nawet oczy ryb. Teraz pasjonuję się fotografią szeroką, dzięki której można uwiecznić na zdjęciu całe chwile i zdarzenia jednym naciśnięciem migawki. Woda skrywa tyle tajemnic, że każdy znajduje coś interesującego dla siebie.

**- Jaki najdziwniejszy obiekt spotkał pan w morskich lub oceanicznych głębinach?**

- Najdziwniejsze są zawsze ślimaki nagoskrzelne, przecudnie kolorowe. Czasami przybierają tak dziwne formy i kształty, że wyglądają jak pozaziemskie.

**- Czy fotografował pan rafy koralowe?**



Fot. - Wikipedia.org

- Każdy oglądający zdjęcia podwodne będzie zawsze zachwycony fotografiami jaskiń i raf koralowych. Dla mnie najciekawszym miejscem są cnoty na Jukatanie – mimo że nie w morzu, to jednak przykryte przez morskie fale. To podobno jedno z pięciu najpiękniejszych miejsc do nurkowania na świecie, prawdziwy skarb i mekka dla fotografów podwodnych. Znajdują się w nich nie tylko zachwycające formy skalne, ale przede wszystkim cudowna fauna i flora.

**- I zdarzyło to się panu?**

- Kiedyś spotkałem rekina wielorybiego – istotę niegroźną dla człowieka. Pływał sobie leniwie niedaleko ode mnie. Mojej radości nie mogłem opisać słowami. Podobne spotkanie miałem z mantą – tajemniczą rybą, przypominającą latawiec lub olbrzymi samolot. Jej płetwy mogą osiągnąć nawet siedem metrów długości. Manty są równie ciekawskie nurka, co on ich, dlatego udaje się czasami zrobić im zdjęcia z bliska.

**- Co przeszkadza w odkrywaniu i zatrzymywaniu w kadrze podwodnych tajemnic?**

- Niestety sam człowiek! Co prawda, zdjęcia wraku czy jaskini są ciekawsze z nurkiem, ale umiejętność pozowania pod wodą to inna historia. Fotograf podwodny musi się nieźle natrudzić, żeby zrobić zdjęcie, na którym nie będzie kawałka płetwy innego nurka, jakichś dziwnych figur albo zmaconego dna. Trzeba tak się dobierać w pracy, aby stworzyć zgrany duet, który pokaże innym takie tajemnice, których nigdy nie zobaczą na własne oczy.

**Rozmawiała:  
Sara Kasina, Słupsk**

# Entuzjastycznie zakończony sezon

Tak wielkiej owacji w siedzibie Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” im. Wojciecha Kilara w Słupsku jeszcze nie było. W uznaniu za czerwcowy koncert zamykający sezon artystyczny i za dotychczasowe zrealizowane programy muzyczne, melomani na stojąco dziękowali dyrektorowi i orkiestrze nieustającymi owacjami i oklaskami.



Przedstawiony kolejny program z mini cyklu Muzyczne podróże: Viva España poświęcony był muzyce hiszpańskiej. Ruben Silva wprowadził słupskich filharmoników w klimat muzyczny kultury iberyjskiej, który jest mniej znany i zawsze dla polskiego słuchacza atrakcyjny. W pierwszej części koncertu słuchacze wysłuchali dwóch kompozycji mniej znanych w Polsce twórców. Najpierw Intermezza „La leyenda del beso”, które jest dziełem duetu kompozytorów Reveriano Soutullo i Juana Verta, a następnie preludium „El nino judio” Pabla Luni. Na zakończenie zaprezentowany został przebój sal koncertowych - słynne „Concierto de Aranjuez” Joaquina Rodriga na gitarę i orkiestrę.

Gwiazdą wieczoru była solistka koncertu Wiktoria Szubelak, jedna z najbardziej utalentowanych młodych polskich gitarzystek klasycznych. Ubiegłoroczna absolwentka Uniwersytetu

Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie w klasie gitary klasycznej prof. Ryszarda Bałauszko jest laureatką licznych konkursów gitarowych, m.in. pierwszej nagrody w kategorii solowej oraz duecie na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Gitarowej Gryfice-Trzebiatów i na Międzynarodowym Festiwalu „Gdańskie Spotkania Gitarzystów”. Jest też laureatką nagród na Międzynarodowych Spotkaniach Gitarzystów w Sanoku i na Międzynarodowym Konkursie Gitarowym im. Czesława Drozdziwicza w Krynicy. Była finalistką polskiej edycji Konkursu Eurowizji dla Młodych Muzyków, występując w Studio Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie z Polską Orkiestrą Radiową pod dyktando Wojciecha Rajskiego. Jest dwukrotną stypendystką Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci. W listopadzie 2011 roku została finalistką

Międzynarodowego Konkursu Gitarowego w Llerenie w Hiszpanii.

W drugiej części koncertu został zaprezentowany krótki utwór „La boda de Luis Alonso” innego hiszpańskiego kompozytora - Geronimo Gimeneza oraz II Suita „Trójgraniasty kapelusznik” Manuela de Falli. Kompozytor ten należy do najwybitniejszych twórców hiszpańskich ostatnich dwóch stuleci. Twórczość jego wyrasta z rodzimej muzyki ludowej, szczególnie jest mu bliski folklor andaluzyjski z sięgającymi jeszcze XV wieku wpływami muzyki cygańskiej. „Trójgraniasty kapelusznik” („El sombrero de tres picos”) nawiązuje do bogatego folkloru Andaluzji. Jest to rodzinna kraina kompozytora. Treścią utworu - baletu jest zdarzenie opisane w noweli Pedro Alarcona z 1874 roku, której bohaterem jest miejscowy burmistrz, a oznaką jego urzędu - trójgraniasty kapelusznik. Jest on również najwyższą osobistością w miejscowości Guadix i zabiega o względy ponętnej, lecz zamężnej młynarki, wiernej mężowi. Szykuje się intryga ukuta przez sprytną i wesołą młynarkę, która ma zamiar dać nauczkę podstarzałemu zalotnikowi, okazując mu pozornie przychylność. Ośmielony burmistrz usiłuje podczas nocnej schadzki sfinalizować swe miłosne zabiegi. Jednak piękna młynarka wyjawia prawdziwe uczucia i kompromituje niefortunnego amanta wobec męża i sąsiadów. Tak obrazowo przedstawia się treść pięknej muzyki do baletu. Orkiestra wykonała II Suitę, która jest bardziej popularna. Rozpoczyna się efektowną muzyką do „Tańca Młynarza”, opartą na muzyce andaluzyjskiej. W orkiestrze słychać jakby w oddali dźwięki gitar. Następna część to bardzo barwny „Taniec sąsiadów”, słyszymy w niej wpływ muzyki cygańskiej. Na zakończenie tego utworu rozbrzmiewa najefektowniejsza część suity - finałowa Jota, ognisty taniec aragoński, przetworzony z ludowego oryginału w błyskotliwej oprawie instrumentalnej.

Z wielkim znanstwem zapowiadał i przekazywał informacje o wykonywanych utworach zasłużony prelegent muzyczny Andrzej Zborowski z Koszalina. Na wystawie z okazji 40-lecia Filharmonii w foyer teatru umieszczono afisz sprzed 25 lat, zapowiadający koncert w Słupsku młodego dyrygenta Rubena Silvy i prowadzącego Andrzeja Zborowskiego. Było miło zobaczyć i potwierdzić fakt długich związków obu panów z filharmonią słupską.

Po koncercie zapytałem o pierwsze wrażenia Rubena Silvę, po półrocznym dyrektorowaniu słupską orkiestrą, o ocenę minionego sezonu i plany na przyszłość. Odpowiedział, że pod względem artystycznym było to bardzo udane półrocze. Współpraca z orkiestrą układa się świetnie. Udało się zaprezentować słupskiej publiczności bardzo ciekawe programy muzyczne, m.in. Muzyczne podróże - „Vive la France” i „Viva España” oraz „Pożegnanie zimy” „III Turniej Tenorów”, „Tańce Świata”, „Swing, swing, swing” „Geniusz Beethovena”, „Let’s Dance” i „Mężczyźni wolą brunetki” (te dwa ostatnie jeszcze z Bohdanem Jarmolowiczem). Orkiestra gościła także znakomitych solistów: Janusza Wawrowskiego (skrzypce), Aleksandrę Olczyk (sopran), Wojtkę Mrozka (klarnet), Wiktorię Szubelak (gitara), Michała Gozdka (fortepian), wokalistów z Wielkiej Brytanii: Jacka Feuresena i Kelly Greenhalgh oraz polskich: Małgorzatę Chruściel, Adelę Konop, Sylwię Przetak i Jarka Kozielskiego. Wystąpili gościnnie dyrygenci: Tadeusz Wicherek i Elżbieta Wiesztordt. Znalazło się również miejsce dla młodych artystów: Judyty Kluzy (skrzypce), Natalii Łęt (mezzosopran) i dla młodych dyrygentów: Bartosza Olejnika, Macieja Banachowskiego i Jagody Wyrwińskiej.

Jeśli chodzi o najbliższy sezon to dyrektor zapowiada kontynuację współpracy ze Słupskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym. We wrześniu orkiestra weźmie udział w Festiwalu Pianistyki Polskiej. Na październik zaplanowany został koncert muzyki amerykańskiej z okazji 100-rocznicy urodzin Leonarda Bernsteina. W listopadzie odbędzie się uroczysty koncert z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Orkiestra wykona mszę Wojciecha Kilara „Missa pro Pace” oraz koncert z muzyką filmową tego kompozytora. W grudniu czeka nas przepiękna opera Piotra Czajkowskiego - „Eugeniusz Oniegin”. W czasie wakacji orkiestra wystąpi dwukrotnie podczas koncertów plenerowych w ramach „Garden Party u Karola 3” - przed pomnikiem Karola Szymanowskiego w parku im. Jerzego Waldorffa.

**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**  
w.lipczyński@interia.eu

Fot. Archiwum Autora



# Kontakt z orkiestrą był wyjątkowy

Dużą sensację w środowisku melomanów wywołał występ ze słupską orkiestrą Wiktorii Szubelak, jednej z najbardziej utalentowanych polskich gitarzystek klasycznych młodego pokolenia. W antrakcie koncertu zagrane 22 czerwca br. artystka udzieliła nam krótkiego wywiadu.

**- Czy to był pierwszy pani występ w Słupsku i jak ocenia pani naszą orkiestrę?**

- Tak, w Słupsku występowałam po raz pierwszy. Kontakt z orkiestrą „Sinfonia Baltica” pod dyrekcją maestro Rubena Silvy był dla mnie wyjątkowy. Zaangażowanie i pasja muzyków, jak również przesympatyczna atmosfera podczas prób do koncertu, sprawiły, że jako solistka mogłam poczuć się zupełnie swobodnie.

**- Czy może pani przybliżyć naszym czytelnikom wykonywany program podczas koncertu?**

- Wraz z orkiestrą wykonałam „Concierto de Aranjuez” Joaquina Rodrigo, najbardziej znany koncert na gitarę i orkiestrę. Został on napisany w 1939 roku, a tytuł nawiązuje do pałacu i ogrodów w Aranjuez, miejscowości położonej nieopodal Madrytu, gdzie kompozytor z żoną spędzał miesiąc miodowy. Kompozycja ta nawiązuje do hiszpańskiego folkloru i dworskich tańców, a legenda narosła wokół drugiej części koncertu

mówi, iż wyraża ona emocje kompozytora po utracie dziecka.

**- Jak pani ocenia polskie środowisko muzyków gitary klasycznej, i jakie są perspektywy?**

- Historia gitary klasycznej w Polsce jest niezwykle krótka. Jako instrument solowy zaistniała w naszym kraju dopiero pod koniec lat 60. ubiegłego wieku. Mimo trudnych początków środowisko gitarowe rozwinęło się można rzec, spektakularnie. W Polsce odbywają się duże, międzynarodowe festiwale gitarowe, wśród nich „Śląska Jesień Gitarowa”, która jest jednym z najważniejszych festiwali gitarowych na świecie, a polscy gitarzyści świecą triumfy na konkursach. Żałuję, że w mainstreamie muzycznym gitara wciąż jeszcze nie pojawia się tak często, jak na to zasługuje. Mam nadzieję, że proces jej popularyzacji w naszym kraju i wprowadzania na salony muzyczne będzie zataczał coraz szersze kręgi.

**Rozmawiał:**  
**Włodzimierz Lipczyński, Słupsk**

# Dużo i mało

Liczyliśmy po cichu na Złotą Palmę na 71. Festiwalu Filmowym w Cannes za dramat „Zimna wojna”. I była statuetka, ale za reżyserię dla Pawła Pawlikowskiego



Fot. Materiały prasowe

Film ten był od roku 2002 po „Pianiście” Polańskiego pierwszą propozycją rywalizującą z najlepszymi filmami z całego świata w konkursie głównym. Statuetka za reżyserię dla Pawła Pawlikowskiego pogodziła wszystkich polskich kinomanów. Czy to dużo, czy mało? To i tak na tym prestiżowym i nigdy do końca nieprzewidywalnym konkursie dużo. Pawlikowski jest bowiem pierwszym w historii polskiej kinematografii Polakiem, który zdobył takie wyróżnienie. Piszę o tym wydarzeniu nie tylko dlatego, że - jak mówił Paweł Pawlikowski odbierając statuetkę podczas uroczystej gali - „...trzeba nam dziś w Polsce dobrych wiadomości” (myślał zapewne nie tylko o polskiej kulturze), lecz także z uwagi na ogólną sytuację dotyczącą odbioru filmu przez światowe media. Sytuację, która niezmiennie od lat preferuje antywojenne nastroje, przeciwstawiając się wszelkiego rodzaju wojnom, totalitaryzmom i zniewoleniu.

Warto też wiedzieć, że nagrodę reżyser dedykował zmarłemu rok temu pisarzowi Januszowi Głowackie-

mu, który - jak podkreślił - podobnie jak jemu podobni twórcy pozostał w Polsce, reprezentując swoimi zachowaniami to, o co dzisiaj musimy walczyć: własny honor, odwagę, delikatność i otwarcie na resztę świata.

Film Pawlikowskiego na tle romantycznej historii miłości wzorowanej na autentycznych przeżyciach jego rodziców, opowiada także o Polsce, która uwikłana w powojenną politykę wschodniego hegemonu ZSRR, zapamiętana została przez świat, jako kraj znaczący w długim i niezwykle ważnym ciągu zdarzeń historycznych, które w latach 80. doprowadziły do pokojowych zmian w całej Europie.

Film w czerwcu wszedł na ekrany kin i na pewno warto go obejrzeć.

Nawiązując do tradycyjnych wartości, które w polityce i kulturze przypominają światu o odegranej przez nasz kraj historycznej roli w kształtowaniu współczesnej Europy, trudno jest w ostatnich miesiącach znaleźć inne dobre przykłady, mające wpływ na kształtowanie dobrych opinii o Polsce.

**Jan S. Smalewski, Bąkowo**

Byłem z grupą narciarzy z Pomorza w Szklarskiej Porębie na Hali Szrenickiej i uczestniczyłem w pożegnaniu sezonu zimowego. Mimo iż był to pierwszy dzień wiosny to śniegu w Karkonoszach było bardzo dużo. W tym czasie obchodzono też 50. rocznicę największej polskiej tragedii w górach. Lokalna prasa dolnośląska rozpisywała się, podając wiele faktów i komentarzy ku przestrodze turystów i narciarzy. Przypomniała też to tragiczne zdarzenie. 20 marca 1968 roku o godz. 11-jej zeszła lawina porywając 24 osoby idące dnem Białego Jaru w Karkonoszach. Pięć spośród nich, których lawina odrzuciła w bok, udało się uratować, pozostałych 19 - w tym 13 Rosjan, wówczas obywateli ZSSR i 4 obywateli Niemiec, wówczas NRD, oraz 2 Polaków - zginęło. Akcja ratownicza prowadzona była przez polski GOPR, czeskich ratowników i ochotników. Brało w niej udział razem z wojskiem 1100 osób. Ostatnie ciała ofiar znaleziono dopiero 1 i 5 kwietnia. Lawinisko miało długość ponad 600 metrów, (niektóre źródła podają 800 lub nawet kilometr), około 20-80 metrów szerokości i grubości około 12, a wysokość czoła miała około 20-25 metrów. Zsunęło się 50 tysięcy ton śniegu. Czas przesuwu lawiny wynosił 48 sekund, a prędkość ocenia się na 100 km na godzinę, a nawet większą.

Po latach powtórnie analizuje się przyczyny tego zdarzenia i stany pogodowe sprzed 50 lat. W 1968 roku pierwsza dekada marca charakteryzowała się brakiem wiatrów, wysokim nasłonecznieniem i temperaturą około zera stopni. Niezbyt gruba warstwa śniegu ulegała tajaniu, woda wsiąkała w grubą warstwę podłoża - w rozdrobnioną zwietrzelinę granitową i pojedyncze bloki skalne. Druga dekada marca cechowała się zmiennymi warunkami pogodowymi. Rozpoczęła się od silnych opadów śniegu, spadkiem temperatury poniżej zera i gwałtownymi zamieciaми śnieżnymi. Po jednodniowym wypogodzeniu, 13 marca śnieg, uprzednio nasiąknięty wodą, uległ scementowaniu, a na jego powierzchnię spadły duże ilości świeżego mokrego śniegu, tworząc kolejne nakładające się warstwy. Ostatnia miała

# Kapryśne góry

Karkonosze są górami bardzo kapryśnymi, mają zmienny i trudny klimat. Gór tych nigdy nie wolno lekceważyć, możemy cieszyć się ich urokiem, ale należy zawsze kierować się roztropnością w ich pokonywaniu.

zróżnicowaną gęstość. Następne opady i zamiecie spowodowały znaczące przeciążenie stoków o stosunkowo sporym nachyleniu. Równowaga pokrywy śnieżnej została zachwiana, co zaowocowało niewielką lawiną (tzw. deską) 17 marca. Opady śniegu i zawieje występowały głównie w nocy, podczas gdy w dzień następowały roz pogodzenia i silne podgrzewanie słońcem. Powodowało to nadtapianie wierzchnich warstw, a powstająca woda wsiąkała w głąb. Zamarznięte podłoże gruzowe i lodowe nie poddawało się tym zmianom.

W godzinach południowych 20 marca, przy znacznym nasłonecznieniu, nastąpiło gwałtowne oderwanie się wielkich mas śnieżnych w dolinie. Zsunęły się po zmrożonym podłożu z dużą prędkością, zasypując grupę młodzieży z obozu międzynarodowego z Karpacza. Grupa ta miała

zamiar przejść trasę wzdłuż Białego Jaru. Zlekceważyła znaki ostrzegające przed lawinami, jak również ostrzeżenia w domach wczasowych. Mimo niebezpiecznej sytuacji i zamknięcia wyciągu krzeselkowego na Kopę, pogoda zachęcała jednak do wycieczki. Na krótko przed zejściem lawiny, grupa stała na rozdrożu i zastanawiała się czy iść w kierunku Strzechy Akademickiej, czy do górnej stacji wyciągu na Małą Kopę.

Pierwsi lawinę zauważyli sportowcy, którzy biegli w niewielkiej odległości za grupą i oni rozpoczęli poszukiwanie poszkodowanych. Właściwą akcją ratunkową rozpoczęto około godziny 11:15. Do szpitala odtransportowano 5 turystów, których podmuch wiatru odrzucił z trasy lawiny - dwóch Niemców, dwóch Polaków i jednego Rosjanina. Były to jedyne osoby, które przeżyły kata-

klizm. Przybyła ekipa ratowników z Czechosłowacji z tresowanym psem do poszukiwania ofiar. Pies wykopał pierwsze ofiary, i za nim posuwali się ratownicy z sondami. Za nimi kopacze z łopatami. Wydobyte ofiary transportowano najpierw do wojskowego namiotu, a następnie do kostnicy. Z braku toboganów ciała transportowano na nartach połączonych sznurkiem. Poszukiwania kontynuowano aż do późnego wieczora, mimo groźby zejścia następnej lawiny. W ciągu następnych dwóch dni wydobyto ciała sześciu ofiar. Przyczyną śmierci większości były doznane obrażenia, a nieliczni zginęli w wyniku uduszenia.

Karkonosze przy swoim pięknie i niepowtarzalnej urodzie są zawsze niebezpieczne. - W 2017 roku przeprowadzono ponad 500 akcji ratowniczych w górach, a w samym środku jesieni w październiku 180 - mówi Sławomir Czubak, naczelnik Grupy Karkonoskiej GOPR. - Od kilku lat górcy ratownicy notują wzrost liczby wypadków. Związane jest to przede wszystkim ze wzrostem turystów odwiedzających Karkonoski Park Narodowy i Góry Izerskie. Rocznie jest ich ponad 2 miliony! To ogromna liczba osób. Niestety, Karkonosze są traktowane lekceważąco, z tego względu, że są to góry dość niskie. Jednak są górami bardzo kapryśnymi, mają zmienny i trudny klimat. Ten panujący na wysokości 1400 metrów nad poziomem morza jest porównywalny z klimatem w Alpach na poziomie 2400 metrów. Gór tych nigdy nie wolno lekceważyć, możemy cieszyć się ich urokiem, ale należy zawsze kierować się roztropnością w ich pokonywaniu.

**Włodzimierz Lipczwiński. Słupsk**



# Sportowy świat pożegnał Irenę Szewińską

Nie żyje Irena Szewińska - wiadomość ta obiegła cały świat sportowy i była wielokrotnie powtarzana w mediach krajowych i zagranicznych. Odeszła 72-letnia działaczka sportowa i Ikona Polskiego Sportu. Prezydent Andrzej Duda napisał na Twitterze: „Odeszła Pani Irena Szewińska - Pierwsza Dama polskiego sportu i Dama Orderu Orła Białego. Zdobywczyni 7 medali olimpijskich, wielokrotna rekordzistka świata. Wielka strata i wielki żal”...



Fot. Archiwum Autora

**B**yla najwybitniejszą zawodniczką w dziejach polskiego sportu. Nigdy na stadionach, bieżniach nie przegrywała, tylko teraz ciężka choroba ją zmogła i pokonała. Wygrywała na mistrzowskich zawodach i na igrzyskach olimpijskich. Była największą polską lekkoatletką specjalizującą się w biegach sprinterskich i w skoku w dal. Należała do najbardziej utytułowanych polskich sportowców i najwybit-

niejszych lekkoatletek w historii. Stawała na podium na czterech kolejnych igrzyskach olimpijskich: w Tokio, Meksyku, Monachium i Montrealu. Po zakończeniu kariery była aktywną działaczką krajowych i międzynarodowych organizacji sportowych, aktywną członkinią Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Jej bilans medałów jest imponujący, zdobyła trzy medale złote, dwa srebrne i dwa brązowe igrzysk olimpijskich oraz dziesięć medali na otwartym stadionie i trzy w hali mistrzostw Europy. Wielokrotnie reprezentowała Polskę w meczach międzypaństwowych i Pucharze Europy. W latach 1965-1979 zdobyła 24 medale mistrzostw Polski w biegu na 100, 200, 400 metrów, sztafecie

4x100 metrów i skoku w dal. Czterokrotnie była wybierana sportowcem roku w plebiscycie Przeglądu Sportowego i czterokrotnie zajmowała drugie miejsce. W 1974 Agencja Prasowa United Press International wybrała ją najlepszą sportsmenką na świecie.

Karierę sportową miała błyskotliwą. Rozpoczęła uprawiać lekkoatletykę jesienią 1960 roku, mając 14 lat, w grupie uczniów Szkoły Pod-

stawowej nr 37 w Warszawie, której trenerem był Jan Kopyto - dawny finalista z igrzysk olimpijskich z Melbourne w rzucie oszczepem, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Na marginesie dodam, że pochodził z Kępic, tam mieszkali jego rodzice, chodziliśmy do tej samej szkoły średniej i zawsze go mile wspominam, bo imponował mi osiąganymi wynikami sportowymi i swoją karierą mistrzowską. Pani Irena od początku startowała w barwach warszawskiej Polonii. W 1962 roku zdobyła w Łodzi pierwsze medale mistrzostw Polski młodzików. Pierwsze międzynarodowe sukcesy odniosła już w 1964 roku - podczas rozgrywanych w Warszawie europejskich igrzysk juniorów. Zdobyła wówczas trzy złote medale, wygrywając bieg na 200 metrów i skok w dal oraz z koleżankami bieg rozstawny na 4x100 metrów.

W 1964 roku pojechała na pierwsze swoje igrzyska olimpijskie do Tokio i wywalczyła srebrne medale w skoku w dal, biegu na 200 metrów, a z Teresą Ciepłą, Haliną Górecką i Ewą Kłobukowską, poprawiając rekord świata czasem 43,69, zdobyła złoto w sztafecie sprinterskiej. Rok później zdobyła w Budapeszcie trzy medale Uniwersjady, a w 1966 także w stolicy Węgier wywalczyła cztery, w tym trzy złote medale mistrzostw Europy. W 1968 roku w Meksyku podczas igrzysk olimpijskich zwyciężyła w biegu na 200 metrów, poprawiając czasem 22,58 rekord świata oraz zdobyła brąz na dystansie 100 metrów. W biegu rozstawnym 4x100 metrów Polki zgubiły pałeczkę i nie awansowały do finału.

Zimą 1969 roku Irena Szewińska zdobyła w Belgradzie trzy medale na



Lekkoatletycznych Europejskich Igrzyskach Halowych. W związku z ciężą opuściła sezon letni 1969 i 1970, a po urodzeniu syna Andrzeja, zimą 1971 stanęła na podium Halowych Mistrzostw Europy w skoku w dal. Latem na Mistrzostwach Europy w Helsinkach zdobyła brązowy medal w biegu na 200 metrów. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w 1972 roku zdobyła brązowy medal w biegu na 200 metrów i dotarła do półfinałów w rywalizacji na dystansie 100 metrów. Od jesieni 1973 roku rozpoczęła starty w biegu na 400 metrów. W sezonie letnim 1974, podczas Mistrzostw Europy w Rzymie zdobyła trzy medale, w tym dwa złote w biegach na 100 i 200 metrów. Tego też roku na początku marca w Katowicach rozegrano Halowe Mistrzostwa Europy, na których zdobyła brązowy medal w biegu na 60 metrów.

Na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku pani Irena w biegu na 400 metrów zdobyła złoty medal, ustanawiając czasem 49,29 nowy rekord Polski i świata. Ten rekord Polski do dzisiaj nie został pobity. Dwukrotnie zdobywała jeszcze brązowe medale na Mistrzostwach Europy w Pradze w 1978 roku, a podczas swojego ostatniego olimpijskiego startu na Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku dotarła do półfinału w biegu na 400 metrów. Po zakończeniu, po tych igrzyskach kariery sportowej, rozpoczęła działalność w szeregu organizacji. Do 2009 roku zasiadała w Zarządzie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, w latach 1997-2009 była prezesem PZLA. W 1984 roku została wybrana do Komitetu Kobiecego International Association of Athletics Federations (IAAF), a w 1995 do Rady European Athletics Association. Od 2005 do 2009 i ponownie od 2011 zasiadała w Radzie IAAF (Międzynarodowego Stowarzyszenia Federacji Lekkoatletycznych). Była wiceprezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego, a od 1998 również członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

Zmarła 29 czerwca br. w Warszawie.

**Włodzimierz Lipczyński**  
Słupsk



# Odwołanie od reklamacji a uszkodzenie mechaniczne

Wiele osób, gdy w odpowiedziach sklepów widzi zapis „uszkodzenie mechaniczne”, rezygnuje z dalszej walki. Moim zdaniem zupełnie nieślusnie, zważywszy, że uzasadnienia sklepów często są wzięte z... kosmosu.

**K**onsumentka składała reklamację na parę butów z uszkodzonymi noskami (zrobiły się w nich przetarcia po tygodniu użytkowania, a nawet codziennie ich nie nosiła). W odmownym uzasadnieniu reklamacji kierownik sklepu napisał, że przypuszcza, iż buty nie były użytkowane zgodnie z przeznaczeniem i z tej przyczyny doszło do uszkodzenia mechanicznego. Oczywiście nie zgodziłem się z tym uzasadnieniem i zażądałem, by wyjaśnił, co dokładnie konsumentka robiła (jego zdaniem) z tymi butami. Zawsze warto próbować - w końcu chodzi o nasze pieniądze!

W powyżej przytoczonym przykładzie sprawa była o tyle prosta, że osoba rozpatrująca reklamację strze-

liła sobie w stopę, pisząc o tym, że przypuszcza, iż klientka zrobiła taką a taką rzecz. Odpowiadający na złożoną reklamację nie może przypuszczać, że klient coś zrobił. Sprzedawcy ma udowodnić, że sprzedał towar w jakości odpowiadającej jego cenie, że jest on zdalny do użytku zgodnie z przeznaczeniem.

## Warto sprawdzić przedmiot jeszcze przed zakupem

Żeby uniknąć podobnych historii, jeszcze przed zakupem produktu warto lepiej mu się przyjrzeć. Sprawdzić wykonanie szwów i użyty materiał, czy nie ma nigdzie odstających nitów, spruć, odbarwień i przetarć. Je-

śli natomiast kupujemy sprzęt elektroniczny, po zapłaceniu za niego należy podejść do punktu serwisowego i poprosić o otwarcie produktu. Upewnić się, że wszystkie części są w komplecie i czy nie są uszkodzone, a także podłą-

czyć sprzęt i przetestować jego działanie. Sprzedawca ma prawny obowiązek zapewnienia nam sprawdzenia działania urządzenia na miejscu.



czyć sprzęt i przetestować jego działanie. Sprzedawca ma prawny obowiązek zapewnienia nam sprawdzenia działania urządzenia na miejscu.

Jeśli coś będzie nie tak, sprzedawca powinien nam od ręki wymienić zakup lub uzupełnić brakujące komponenty. Często nie jest to możliwe, gdy wrócimy do domu i dopiero tam zorientujemy się, że sprzęt szwankuje lub jest wybrakowany. Sprzedawca może nam np. zarzucić, że włożyliśmy daną część z pudełka i teraz chcemy wyludzić część zapasową. I w sumie taka sytuacja jest nie do obronienia. Dlatego należy pamiętać, że niezależnie od tego, czy kupujemy czajnik elektryczny, czy telewizor, idziemy od kasy do Punktu Obsługi Klienta lub do lady Serwisu Reklamacyjnego i testujemy urządzenie.

Bardzo ważne jest też sprawdzenie, czy w środku znajduje się karta gwarancyjna. Karty gwarancyjnej wcale nie trzeba od razu podbijać! Najważniejsze, by zachować paragon oraz poprosić o jego skierowanie (papier paragonowy jest światłoczuły, z czasem blaknie), bo to jest główny dowód zakupu w przypadku, gdy chcemy oddać produkt na gwarancji (aczkolwiek nie jedyny, gdy oddajemy go z tytułu niezgodności towaru z umową - taką reklamację można uwzględnić np. też na podstawie potwierdzenia dokonania zakupu kartą czy przedstawiając potwierdzenie

płatności z bankowego konta internetowego). Kartę gwarancyjną najlepiej podbić po tygodniu użytkowania. Dlaczego tak?

Niektórzy sprzedawcy oferują możliwość oddania towaru i zwrotu

pieniędzy w ciągu 3-10 dni od dokonania zakupu. Nie jest to wymóg prawny, a jedynie dobra wola sprzedawcy - nie musi on iść klientom na rękę. Jeżeli rozmyślimy się i będziemy chcieli oddać sprzęt, nie będzie to możliwe, jeśli będzie on miał podbitą kartę gwarancyjną. Towar z podbitą kartą gwarancyjną po prostu nie może wrócić na półkę w sklepie. Zasady tej nie stosuje się w przypadku sprzętów osobistych, typu lokówki, prostownice, golarki. Takich produktów ze względów higienicznych żaden sklep nie przyjmie jako zwrot.

## Jak przygotować się do złożenia reklamacji?

Jeżeli już kupiliśmy felerny produkt i chcemy go reklamować. Jak się do tego przygotować? Przede wszystkim, zadбайmy o to, by oddawany produkt był czysty, w przeciwnym wypadku sprzedawca już na miejscu może nam powiedzieć, że nie przyjmuje go na reklamację - chociaż faktycznie nie ma do tego prawa, powinien taki przedmiot przyjąć. A jeśli nawet nie będzie robić problemów i przedmiot przyjmie, to może zaraz po tym, jak opuścimy sklep, reklamację odrzucić i uznać za bezzasadną z uwagi na niewłaściwe użytkowanie i nieodpowiednią konserwację (lub w ogóle jej brak). Dlatego: obuwie koniecznie należy przetrzeć z błota, a środek wy-

pryskać preparatem do odświeżania butów; czajniki elektryczne trzeba odkamienić (gdy sprzedawca zobaczy w środku grubą warstwę kamienia, z miejsca odbija reklamację z klauzulą, że produkt nie był odpowiednio konserwowany - nawet jeśli reklamacja dotyczyła czegoś innego niż zepsutej grzałki); odkurzacz należy przetrzeć od środka z kurzu, wyjąć worek, sprawdzić czystość filtrów.

Towar najlepiej oddać w oryginalnym opakowaniu, ale jeśli go nie posiadamy, to w jakimkolwiek kartonie, który uchroni go przed dodatkowymi uszkodzeniami w trakcie transportu.

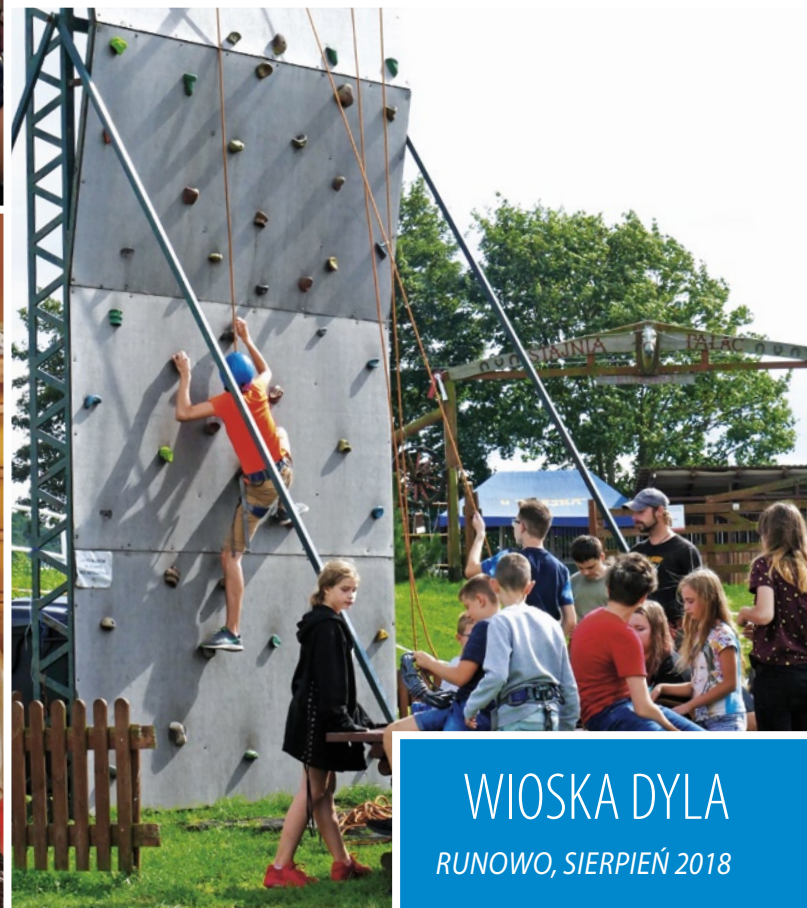
## Dokładny opis reklamacji to połowa sukcesu

W trakcie zdawania produktu, koniecznym jest bardzo dokładne opisanie jego stanu, oraz co jest rzeczywistym powodem reklamacji. Konsumentka popełniła ten błąd, że nie podyktowała szczegółowo obsłudze klienta, na czym polega jej reklamacja. W formularzu reklamacyjnym znalazł się u niej jedynie zapis „urwana szlufka, rozerwanie kieszeni”. Koniec.

Brakowało informacji o tym, jak doszło do uszkodzenia. Np. ile razy produkt został użyty (a spodnie były ubierane po raz pierwszy), jak duże jest rozerwanie, której kieszeni ono dotyczy. Brak też informacji o ogólnym stanie spodni i wątpliwościach co do użytego materiału. Powinna pojawić się wzmianka o przetarciach na nogawce już w momencie zakupu. Nie jest to żaden wymóg, ale należy pamiętać, że im dokładniejszy opis, tym lepiej, bo wytrącimy sprzedawcy broń z ręki, ograniczymy możliwości snucia domysłów.

Zanim dojdzie do podpisania formularza, należy go dokładnie przeczytać, jeśli coś zostało odnotowane nie tak, jak powinno, trzeba żądać korekty. Sprzedawca powinien wręczyć kopię formularza. Po zrobieniu kserokopii oddać oryginalny paragon lub inny dowód zakupu i powiadomić o decyzji w ciągu 2 tygodni, jeśli reklamacja została złożona z tytułu niezgodności towaru z umową. Jeżeli sklep nie dysponuje gotowym formularzem do składania reklamacji, klient musi napisać samodzielnie pismo reklamacyjne.

**Marek Kurowski**  
**Powiatowy Rzecznik Konsumentów**



WIOSKA DYLA  
RUNOWO, SIERPIEŃ 2018



